

BIBLIOTEKA „GŁOSU”

KONSTANTY DOBRZYŃSKI

CZARNA POEZJA

— 1936 R. —

POZNAŃ 1936

NAKŁADEM „OREĐOWNIKA”



884-1

CZCIONKI i DRUK: DRUKARNIA POLSKA SPÓŁKA AKCYJNA,
POZNAŃ, ŚW. MARCIN 70

Piszę uwagi te wstępne nie dla uczynienia zadość zwyczajowi. Czynię to raczej, po przeczytaniu wierszy, przeznaczonych do niniejszego zbioru, z głębokiego, szczerzego przekonania: widzę bowiem w Konstantym Dobrzyńskim młody, jędrny, z rdzennie polskiego ducha zrodzony talent poetycki o bujnej wyobraźni, porywającym polocie, uderzającej sile wyrazu i niezwykle — jak na skromne warunki, w których wzrósł — bogactwie języka i opanowaniu kształtu literackiego.

*

Kim jest Konstanty Dobrzyński? Urodził się pod koniec roku 1908 w Łodzi na przedmieściu Chojny, jako syn robotnika fabrycznego. Ojciec jego zaginął na wojnie. Matka znalazła się w nędzy. Udała się na Kujawy do rodziny. Mały Konstanty zarabiał na życie pasaniem bydła u okolicznych włościan. Wieczorami uczyła go matka czytania na książeczce do nabożeństwa. Chodząc za krowami, przeczytał prawie wszystkie dzieła Sienkiewicza, które oszołomiły go i nakłoniły do uczenia się.

Dostał się do zakładu rzemieślniczo - wychowawczego Braci Franciszkanów we Włocławku. Po kilku latach wrócił do Łodzi, gdzie ukończył szkołę powszechną i był rok w państwowej szkole włókienniczej, którą musiał opuścić z powodu choroby matki, żywicielki rodziny. Pracował dwa lata jako robotnik budowlany, potem otrzymał pracę w fabryce Scheiblera i w tym czasie kształcił się w gimnazjum wieczorowem, kończąc w niem 5 klas.

Po odbyciu służby wojskowej był przez 3 lata bezrobotny. Uczył się bez przerwy przy pomocy przyjaciół maturzystów i akademików. W okresie tym zabrał się już na serjo do twórczości literackiej.

Nędza robotników wzbudziła w nim ducha buntu. Wkrótce zetknął się z ruchem narodowym, który go porwał ideowością. Gdy pojawiły się w Łodzi pierwsze numery „Orędownika“, zbliżył się doń Dobrzyński. Wkrótce poczęły się jego wiersze pojawiać w tem piśmie, a po pewnym czasie Dobrzyński został współpracownikiem łódzkiego oddziału redakcji „Orędownika“.

*

W wierszach swych Dobrzyński otwiera całą swoją duszę, wrażliwą na piękno przyrody, nutę liryzmu i zadumy, na tętno życia fabrycznego, na niedolę wyzyskiwanych i nędzę bezrobotnych, na przeobrażenia ideowe w psychice narodu.

W cyklu „Usta na gwiazdach“ Dobrzyński osiąga najwyższy poziom poetyckiego piękna i natchnienia w wierszach: „Lipiec“, „Gwiazdy“, „Smutek“, „Zaduma“. Pokrewny jest cykl „Łódź“ z szeregiem realistycznych obrazów oraz z uroczym sielską swą prostotą wierszem „Na Chojnach“.

Najmocniejsze w ekspresji swej wręcz dramatycznej są wiersze cyklu „Czarna poezja“, obrazujące życie maszyn i tych, którzy im służą, a nieraz bywają ofiarą wyzysku: „Taniec maszyn“, „Jan Cebula“, „Tkacz“, „Robotniku szary“ i inne.

W cyklu „Dłonie ku niebu“ młody poeta buntuje się przeciwko istnieniu nędzy ludzkiej, szamoce się, rzuca krzyk protestu ku Bogu, ale kończy swój bunt akordem wiary i nadziei: „Credo“.

Wypowiedziawszy walkę „wodzeniu ludu po złudnych manowcach“ (walki klasowej), poeta woła: „W nowy idziemy Polski świt“ i z entuzjazmem daje wyraz pędowi młodego pokolenia ku lepszemu jutru Polski („Pod wiatr“ i in.) w myśl wezwań i zakleć przywódców ruchu narodowego („Prometeusze“, „Dmowski“, „Confiteor“).

Twórczość poetycka Dobrzyńskiego, zdrowa, męska, szczerza, żywiolowa, jest przeciwieństwem cherlactwa, a częściowo wręcz zwyrodnienia owych wyblakłych dusz, których „poezja“ albo kroczy na szczydlach wymęczonej pozy i fałszu uczuć, albo tacza się wprost

USTA NA GWIAZDACH

JEDNO IMIĘ

Matce mojej poświęcam

Jest jedno imię pośród imion świata;
Jedno, jedyne, promieniste imię.
Pachnie niem stara, przygarbiona chata
I szepcą ściany w sercem tchnącym rymie.

Brzmią w niem pieściwie lat młodzieńczych chwile,
Beztroskie, jasne, radością tętniące
I tyle wspomnień, snów prześnionych tyle,
Łzy i uśmiechy, i burze, i słońce...

Imię najśodsze i najbardziej święte,
Świecące jasno pośród życia mroku,
Miłośnię, słodko sercem uśmiechnięte,
Budzące zachwyt i łzę rzewną w oku.

Zda się tak małe w zewnętrznej swej treści —
Lecz jak potężne w uczucia głębinie!
Ile tam skarbów nadludzkich się mieści,
Ile zeń wzruszeń przenajtkliwszych płynie!...

Piękniejsześ barwą ponad wonne kwiaty!
O imię cudne... drogie... najlaskawsze,
Pieśnią anielską dźwięczące nad światem,
Wyryte w sercach na wieki, na zawsze...

Gdy kto chce zamknąć w jednym tylko słowie,
Ogrom czuć jasnych do granic ostatka —
Niech przykleknąwszy, to imię wypowie:
Jedyne, jedno, przenajśodsze... M A T K A!

DO POEZJI...

Szukam cię ciągle od zarania świata,
Przez wieki całe, zmierzchłe pokolenia;
W coraz to inne wcielam się istnienia —
Gdzie tylko ludzka myśl skrzydłem dolata
Idę za Tobą.....

Skroń posypałem ofiarnym popiołem,
W łachmanach bólu, przez ciernie i głogi,
Nie widząc końca bezkresnej mej drogi,
Przydrożne pyły zmiotam błędnem czołem.

Szukałem Ciebie w gwiazd niebieskich lotach
I w krwi purpurze i w dymów pożodze,
W orgjach szaleństwa, w mdłych oparach złota
I w sercach ludzkich, na bezludnej drodze —
Lecz nie znalazłem.....

Czas Cię nie zmieścił. Ty ponad krawędzie
Ludzkiego bytu wystrzelasz istnieniem,
I w nieśmiertelnej zaklęta legendzie
Wołasz wciąż na mnie najcudniejszym brzmieniem.

W snach swych Cię widzę. Twe promienne oczy
Głębsze niż wszystkie w świecie oceany
Swój lazur wzięły z niebieskich roztoczy —
Ciało Tve bielsze ponad morskie piany.

Uśmiech Twój wonny, to symfonia świata —
Najcudowniejsza w wszechświecie piosenka,
Przez palce Twoje złoci się jutrzeńka
I cudną głowę w obłok róż oplata.

Och, kiedy przyjdiesz i usta wonnemi
Szepniesz mi w serce nieśmiertelną pieśnią,
Kiedy się wreszcie sny me ucieleśnią
I raj ożywią na koszmarnej ziemi?

Och, zanim legnę na śmierci kobiercu,
Szepnij mi słodko, zanim zdążę skonać,
„I jako pieczęć przyłóż mnie na sercu,
Jak naramiennik włóż na swe ramiona“.

WIOSNA

Zaświergoliło w górze,
zaćwierkało, rozdzwoniło się wokół,
przejrzało się z uśmiechem w lustrzanym lazurze
potoku.

Przeleciało przez pola, wertepy i łągi,
zaszemrało tajemnie w pęcznięjącem drzewie,
zafurczało w gałęziach w zefirowe wstęgi
i zagrało
rozdrgało
się w śpiewie.

Idzie zdala z bezkresów cudna, złotowłosa —
idzie...

Już ją czekają na przyźbie,
już w zapadłej izbie
roztąńczyły się blaskiem słonecznym niebiosa...
pst!...

Idzie...

Złotowłosa!

Harmonją kroków płynnych kołysze się w biodrach,
scałowały jej fiołki różowe kolana —
idzie życiem, słodyczą i miłością szczodra,
zaczarowana w świegoty madonna...

Idzie...

Wonna,
roześmiana.

Tchem gorącym jaśminów, bzów ciężarnych kiścią,
baziami wilgotnemi w trzaskających pąkach —
coś tam szepnąć miłośnie rodzącym się liściom,
gdzieś się schylić, przytulić w cudownej pieszczocie,
zaperlić się kantatą w wiszących skowronkach,
porozsiewać po łąkach
stokrocie.

Atlasami zielonych puszystych kobierców,
pól, przestrzeni rozległych kwiecistym obliczem,
hymnem życia, co nagle rozbrzmiał w śpiącym sercu,
i poszumem radosnym ockniętej dąbrowy
pomknął rwąco ku słońcu kryształowym
zniczem.

Krew gra w żyłach krążeniem żywszem i gorętszem
i tak wszystkim się nagle rozwiósnęło w łonie
i czerwieńsze są wargi i zakłęcia świętsze,
przepaścistsze i głębsze ócz błyszczących tonie.

Idzie...

Ust koralami musnąć wszystkie twarze,
porozpinać na masztach uśmiechy radości,
i w rozslonecznione zbarwić cały świat miraże
i wszystkim drogi kwiatami wymościć.
Utkać dywan wzorzysty na ojczystych krosnach.

Idzie...

Nieskalana,
rózanopalca, roześmiana
w i o s n a.

WIŚNIE

Zakwitły wiśnie... Kwitną wiśnie,
takiem pachnącem, białem kwieciami,
i tak cudownie jest na świecie,
aż dziw, że serce nie wytryśnie

z dyszących piersi i nie wzleci
i na gałęziach nie zawisnie,
nie spręży się i nie rozkwieci
tak, jak rozkwitłe, białe wiśnie.

W wiśniowym sadzie biel pąkowi
jak tuman wonny wkrąg osiadła,
jak najcudniejszych snów widziadła
w złocistej zorzy się różowi.

Wieczór już drzemie ociężały,
sennie się chylą białe kwiaty,
przez nie wysoko ponad światem
miesiąc z gwieździstej łni powały.

Tak lec w tych wonnych mgieł roztoczy,
z kryształów cudny sen swój wyśnić...
A potem, niechaj się na oczy
sypią pachnące płatki wiśni.

A może w drzącą biel spowita
przyjdzie i do ust mi przycisnie
swych warg majowych słodkie wiśnie
stęskniona moja Sulamita?...

Może jak drobne, białe kwiecie
utoniem razem w wonnej chmurze,
słyszac, jak miesiąc, hen, gdzieś w górze
rozrabia srebro w nieb palecie ? ...

Czekam i tęsknię za godziną,
w której się zjawi albo przyśni.
Tylko przez palce wciąż mi płyną
srebrzysto-białe płatki wiśni ...

PSYCHE NIEUCHWYTNA

Wielkie, bezkresne, tajemnicze morze —
fale potężne, rozszumione fale —
błyski na ciemnym fiolecie ugorze —
wichrowe dale,
cięte skrzydłem dale....

Oczy rozwarte ekstazą natchnienia
i niebo w piersi i płomień na dłoni —
spragnione ręce całują cud śnienia...
Bóg, co się nagle z chaosu wyłonił!...

Struny rozdrżane, rozdźwięczone struny —
i dźwięki: perły, szmaragdy, rubiny...
i turkusowych upojeń laguny.
Czerwień Twych sutek przez tęczy muśliny...

Graj! — graj mi dalej!... Nie odchodź mi jeszcze...
tak... dobrze... czuję Twe płomienne dreszcze...
(Tak pewnie musiał czuć Buonaroty,
gdy w twarz Mojżesza wkuwał gromów grzmoty.)

Daj usta prędko!... Daj swe usta wonne,
i rąk Twych lilje — olśnienia szkarłaty,
w których mistrz widział Sykstyńską Madonnę,
albo ten Drugi swe podziemne światy...

Nieznane pierzchło — wiem już teraz wszystko,
to wszystko teraz tak jasne i proste —
czarna zasłona opadła tuż, nisko
przed Twym owitym girlandami mostem.

Idę po stopniach marmurów, onyksów,
jedną w dziś jestem, a już drugą nogę
stawiam po tamtej stronie Styksu,
i chłonę, piję Twoich słońc szeżogę.

Stój! — stój, poczekaj jeszcze jedną chwilę,
chcę pójść do końca Twą promienną drogą...
...znikasz?... już bledną Twoich barw motyle?...
Tak, już jest pusto... już niema nikogo..

129639

12-10-22

LIPIEC

Wstał...

Zaspane oczy przemył srebrem rosy,
ziewnął szeroko, podciągnął się paskiem
i ruszył w pole przez złociste piaski
ogorzały, bosi...

Wnet dosiadł słońce oklep, jak kobyłę —
wiatr mu rozczochrał złotych zbóż czuprynę
i ruszył cwałem w daleką równinę,
gdzie się wciąż klóćą strumyki zawile.

Dopadł do boru. Zsiadł. Poklepał słońce,
spętał mu nogi, by nie poszło w szkodę,
i puścił luzem po niebieskiej łące,
sam poszedł czernić w paprociach jagody.

Huknął po lesie rażny i wesoly —
tam pomalował cynobrem maliny,
tu porozsiewał w barwnych kwiatach pszczoły,
aż legł zmęczony pod krzakiem leszczyny.

W południe nurka dał do misy stawu...
Parska, zbytkuje, dłońmi wodę szarpie,
aż się zdziwiły dobroduszne karpie,
złośliwe plotki śląc nadbrzeżnym trawom.

A potem idzie rozognionym łanem,
przez kark zwiesiwszy z bławatów sukmanę,
i do wsi zmierza, gdzie na niego czeka
bochen razowca, gar zsiadłego mleka.

Gdy Anioł Pański obwieszczą wkrąg dzwony,
westchnie żarliwie macierzanki wonią,
klęknie pokornie cichy, rozmodlony
i w pierś się grzmotnie, aż echa zadzwonią.

W ciepłych wieczorów anielskiej słodyczy,
gdy wszędzie księżyc — nocny stróż nad światem —
gwiazdy — psy srebrne puszczą ze smyczy
i do snu tuli ciche, senne kwiaty.

Skłoni się zorzy — rumianej dziewczynie,
muśnie pod brodę, pocałuje w oczy,
a gdy się dobrze ziemia już omroczy,
Lipiec śpi twardo w ciepłych chmur pierzynie.

G W I A Z D Y

Na nieb gałęziach, co w przestrzeniach wiszą,
gwiazdy, jak wiśnie, dojrzewają ciszą.

Noc — łania bura, o cichych racicach
idzie do stawu napić się księżycą.

Na drzew konarach metalicznie zimnych
psy zawieszają swoich szczekań hymny,
a kopy siana wszystkim dobrze życzą,
gdy je mgła gwiezdna napoi słodyczą.

*

Echo o litość wśród mokrych łąk zebrze,
Bóg wielkie pranie rozpoczyna w srebrze.

Wiatr stygnąc zamarł w posąg marmurowy;
patrzą nań gwiazdy zpod rzesz szmaragdowych.

Plamy księżycą kumkaniem wywabia,
jak gąbką wilgną — republika żabia.

Cień swego cienia nagle się przestraszył
i umknął bokiem, w gąszcze drzew się zaszył.

*

Hen, wśród błękitnych gwiazd acetylenów,
ściele się wieczność srebrną kantyleną

i szepcze światu najśłodziej, najprościej,
o jakiejś wielkiej i świętej miłości.

Wznoszę ramiona i nim słońce błysnie,
zrywam z przestrzeni gwiazd dojrzałe wiśnie,
aby je potem tu, na miejskim strychu
wplatać we włosy cichych oktostychów.

SMUTEK

Na kamienistym zatrzepało zrębie...
legło źrenicą rozszerzoną, suchą...
...u dołu czarne i przepastne głębie...
i pusto... pusto bezbrzeżnie i głucho.

Na pustej drodze zatrzeszczały żwir —
krok jakiś straszny i długi jak wieki...
(Ktoś już to mówił — śpiewał jakiś liryk!)
Ślady? — lecz czego?... Wszak to sen daleki.

Karmazynowe, krwią nabiegłe usta...
...tony bez dźwięku... okrzyki bez głosu...
...o nagą gałąź zaczepiła chusta
spLECIONYCH z nocą popiaszczonych włosów.

U skraju nieba siny bór się mroczy.
Dal kiśnie drzemiąc w ciemnej nocy kadzi.
Z zbiegłych palców coś spływa i broczy...
— Dokąd mnie ciagniesz? — Puść! Gdzie mnie prowadzisz?

Skrzypnęła furtka — wyszedł ktoś bez twarzy;
biegłem szczęśliwy w pokornej podzięce...
lecz cień przystanął i załamał ręce...

— — — — —
To był on — smutek — mój wierny towarzysz.

TOŃ

Noc...

Księżyc z krzykiem przeorał firmament
i zwiśł bezsilny nad bezmiarem głębi.

Gorący opar snuje się i kłębi
nad taflą toni czarnej jak atrament...

Wybiegam nagi na skalne urwisko —
schylam się drżący do bezdennych ciemni,
gdzie poza siatką nenufarów śliską
drzemie splot kłębny odwiecznych tajemnic...

O... jak kołyszą monotonne pluski
rytmem dalekim, pierwotnym i prostym...
Pełzają zwolna lepkie wodorosty,
muśnięte światła mieniących się łuską.

Wyjrzały z głębin wszystkie me tęsknice,
bielą ciał krągłych, wiotkich i urodnych.
Do lśniących włosów wplótszy lilje wodne,
tańczą w poświęcie sny me — topielice.

Gorąco... parno... każdy fibr mej jaźni
zapłonął ogniem i drga, jak membrany,
a toń tak kusi, tak pręży się, drażni...
ciągnąc w czeluści zakłete sezamy.

Idę już, idę...

Skaczę — strumień trysnął,
brak tchu... rozkoszy! Bo pęknie mi łono,
rój fal mnie chwycił czeredą szaloną
i w pocałunkach do ust mi się cisnął.

Grażę się zwolna przez gąszcze splątane,
coraz to niżej, harmonijnie, lekko —
pod mą rozwartą ekstazą powieką
wyrasta nagle z odmętów Nieznane...

A gdy się słońce w brylantach rozzłoci,
zaiskrzy blaskiem wśród śnieżnych gór złomów —
odnajdę siebie wśród wilgnych paproci.
Dźwignę się zwolna i pójdę... do domu.

Lecz wiem, gdy mrok znów zapadnie dokoła,
niebo rozkwitnie w jarzących gwiazd krocie,
znów się nie oprę mej wiecznej tęsknocie,
gdy cichym zewem toń na mnie zawoła.

DZIECI I LIŚCIE

Tak dużo liści, tak dużo... tak dużo...
Legły wokoło, jak spojrzeć, pokotem,
jakby ktoś ziemię ponakrapiał złotem,
biegnąc z pękniętą sączącą się krużką.

Jak tutaj smutno... Nie, to nie te drzewa,
co były kiedyś w zieleni soczystej...
Czy tutaj pierwaj swoje piosnki śpiewał
czarowny śpiewak, w wieczory srebrzyste?

Tak było błogo lec w ich wonnym cieniu
i patrzeć w słońce, zielenią rozdrzganą,
wśród siatki cudnej złotem rozpląsanej —
pić jasność słońca — promień po promieniu.

I słuchać szumów pieśni drzew, prastarej —
o matce-ziemi, o Bogu, wieczności —
co tak szła w serce najśłodziej... najprościej...
jak najcudniejszych melodyj fanfary.

Dziś drzewa smutno stoją po przestrzeniach —
takie bezradne, drżące, zalęknione,
odartem z szaty poświecając łonem,
jak dni promiennych odległe wspomnienia.

W miękkim dywanie bawiące się dzieci
zbierają listki; ten ładny, ten złoty...
o, ten czerwony, co tam z wiatrem leci —
ale w ich oczach jakiś cień tęsknoty.

Zebrane liście niosą do kaplicy,
co się wtuliła między drzewa śpiące,
aby u świętych stóp Bogarodzicy
cichutko prosić, by wróciło słońce.

A Przenajświętsza Częstochowska Pani
patrzy na dzieci — uśmiecha się sercem,
przyjmuje wdzięcznie przyniesione w dani
ojczystych lasów jesienne kobierce.

WIECZORY

Wieczory krwią mi płaczą na zachodzie
I mocniej wyje mi w piersi tęsknota...
Idę przez pola — chwilowy przechodzień,
By się w mgły sine, jak szalem omotać.

By może zgubić myśli huczące,
Zarzewie w piersi stłumić i ostudzić,
Lub by dławionym w dzień krzykiem obudzić
W urwistych jarach jakieś echa śpiące.

Wieczory krwią mi płaczą na zachodzie —
Zrywam się — biegnę — potykam i padam.
Nade mną gwiazdy tańczą w korowodzie.
Wołam i krzyczę — nikt nie odpowiada...

A taka długa czeka jeszcze droga
I takie w skroniach huczą ciężkie młoty;
Za krtań coś ściska. Mrok. Nie widzę Boga —
Wkoło przepaście, głązy i wykroty...

Gdy twarzą padam do wilgotnej ziemi,
Słyszę rozpacze zerwane z uwięzi,
Jak się hen kłębią zwałami gęstemi,
Jak gdzieś nade mną głucha klątwa rzezi.

Synów człowieczych i ziemi jęk słyszę —
Ich bóle miażdżą mi piersi ołowiem;
Konam ich męką, ich przekleństwem dyszę
I nikt nie przyjdzie — nikt słowa nie powie...

Wieczory krwią mi płaczą na zachodzie
I mocniej wyje mi w piersi tęsknota —
Idę przez pola — chwilowy przechodzień,
By się w ból ludzki tak, jak w mgły omotać.

I muszę chodzić, muszę, muszę, muszę,
Jak opętany, jak błędny lunatyk,
O szkarpy gładów targać swoją duszę,
Zrącego bólu brać w usta wijatyk.

Wyciągam ręce tak codzień, tak codzień...
Gdzie iść? Do kogo? W jaki dzwon uderzyć?...
Jak bardzo boli, nikt mi nie uwierzy...

Wieczory krwią mi płaczą na zachodzie...

NOKTURN

Noc... ciemno... głucho... Ostatni błysk świecy
zaskwierczał, tonąc we łzach stearyny.
Za tuman chmury skrył się księżyc siny,
błyskając czasem przez płynne jej plecy.

Tańczą drzew giętkie, chybotliwe cienie,
drżą bezszelestnie pełganiem zdradliwym
i za najmniejszym podmuchu westchnieniem
zmieniają kształty — rosną w długie grzywy.

Powstają, nikną, znów tworzą się nowe
i rozedrgane nieustanną febrą,
w niematerjalną, jak duchy, osnowę
wplatają żywe, roztopione srebro...

Gdzieś tam z ukrytych sercowych podsieni,
wytrysły echa przez mroczne tumany
i w rozśpiewaną klawiaturę cieni
rzuciły akord dawny, zapomniany.

Płynie cichutko cudowna sonata,
wyczarowana Beethovena dłonią —
upojna, słodka — o, nie z tego świata —
tony jej cudne pośród srebra dzwonią.

Perłą się bujnie błyskotliwe dźwięki —
pachną w nich kwiecie chylące się fale;
ach, ja znam refren tej dawnej piosenki...
Już, już nie kończcie, sam dośpiewam dalej.

I dawne cienie ożyły na nowo —
przychodzą, stają i patrzą z uśmiechem;
do ust się ciśnie jakieś znane słowo —
brzmia jakieś szepty zapomnianem echem.

Lecz oto nagle nadpłynął cień wielki,
głębokie basu w locie trącił struny,
w dźwiękach schmurniałych wiszą dżdżu kropelki...
Niedługo zagrzmi i błysną pioruny.

Targają sercem minorowe tony —
to ból zaklęty w szopenowskie pienia.
Jakieś westchnienia... czyje to westchnienia?
I dzwony biją... Jakieś czarne dzwony...

Za oknem całun niezmałconej ciszy —
świat pogrążony w martwej monotonji...
nikt z tamtych śpiących napewno nie słyszy
tych cieni dawnych, minionych symfonji..

Wiatr szumi znowu i kołysze drzewa...
Zabrzęczał w szybę i po węglach wyje...
Trzeba już śpiew ten z cieniami dośpiewać.
Sza! Cicho, cicho, zegar północ bije...

LECĄ LIŚCIE...

Księżyc przygląda się srebrzyście —
Prześwieca zimny poprzez drzewa —
Jesienny wicher nokturn śpiewa,
Zerwane z drzewa pędząc liście...

W jego ponurym, złym poświście,
Brzmi cichym bólem skarga drżąca,
Za wonią kwiatów, blaskiem słońca...
I lecą liście... lecą liście...

Drzewa schyliły błędne kiście —
Dłoń załamały bólu gestem
I ronią w nocne mgły z szelestem
Łzy gorzkie, krwawe — zwiędłe liście.

Ej! Gdzie pędzicie wśród zamieci?
Padnie was wiele, bardzo wiele...
I żółtą płachtą świat uściele,
Zmieni się w kupę zgniłych śmieci.

Lecz może który z was doleci
Przez burze, wichry i orkany,
Gdzie świat radością jest skąpany,
Gdzie wiecznym blaskiem słońce świeci.

Tutaj mróz przyjdzie białolicy...
Krew zetnie w żyłach, tym — bez chaty,
Wysrebrzy szronem strzępy szaty
I w perłę zmieni lżę w źrenicy.

— — — — —
Niebo rumieni się ogniście,
Świat grąży w melancholji
I serce boli... och, jak boli...
A liście lecą... lecą liście...

CISZA

Do mej samotni zakradła się cisza —
po ciemnych kątach zaległa ołowiem —
grubym kilimem legła mi na głowie
i tylko w żyłach krew tętniącą słyszę.

Włóczęga-księżyc, strzymawszy się w pędzie,
wlepił twarz w szybę i patrząc szelmowsko,
z srebrnych promieni sieć misterną przędzie —
kreśli na ścianach tajemnicze zgłoski.

I cicho... cicho... cisza przeraźliwa —
czuję, jak cały w tej ogłuchłej toni
strzępię się w pyły, zwolna się rozplywam.
Tylko me serce gdzieś zza mroków dzwoni.

Czemu tak stukasz serce me szalone?
Cicho... już nie drżysz, to tak bardzo boli,
prześiąknij w ciszy otchłań niezgłębioną
i stop się w blaskach księżycowych kolij.

Już nic nie czuję... już mi dobrze... błogo...
podbiegunowy śnieżysty aksamit —
dotykam w przestrzeń rozpyloną nogą,
czołem uderzam w podnóża piramid.

Wędruję razem z miliardem atomów —
gwiazdy nade mną i gwiazdy są we mnie;
gdzieś tam zostały myśli kłębných gromy,
a mnie dal ciągnie, kusząco, tajemnie.

Wiru wszechświata skanduję poemat.
jażń rozrzuciłem w ciemnych mroków kliszę!
Czy to ja płynę poprzez głuchą ciszę?...
Może kto inny? — Mnie może już niema...

SŁOWA

Są najpierw słowa zwykłe, wyszarzałe,
zimne, stłuczone w potocznej rozmowie,
zdawkowe, szorstkie, głuche, odrętwiałe,
jak bruków miejskich wytarte pogłowie.

Ktoś, gdzieś tam, słów tych zstrzępione okruchy
pobierał, sprzęgnął, zgarnął, przyhołubił —
nasycił sercem, tchnął ożywczym duchem,
w splot słów bezdusznych część jaźni swej zgubił.

I krzyk w nie zaklął — krzyk duszy człowieczej,
dławionej pięścią koszmarnej pomroki —
krzyk z mdłej szarzyny, gnilnych mgieł powleczeń;
do lotu w jaśnie, w błękity, w obłoki...

I cud się staje... Słowa mówią, żyją...
I tętnią sercem, grają barwną tęczę,
promienną strugą przez życie się wiją —
śpiew nieustanny w nieśmiertelność dźwięcząc.

To już nie słowa, ale serca strzępy
wyrwane z piersi, rzucone w twarz świata
ludziom — żywiołom, przez głuche ostępy,
pragnące ziemię z jasnym niebem zbratać.

To coś skrzydlate wędruje po ziemi
i do serc ludzkich bez przerwy kołacze;
gdzieś tam je przyjmą uśmiechy drwiącemi,
czasem ktoś nad niem jaką łzę upłacze...

Ale najczęściej miną je niechętnie
i przejdą obok, potrąciwszy nogą,
wpatrzeni w mroki — zimni, obojętni
i pójdą dalej utartą już drogą...

Temu, co chwycił za rąbek zasłony
i chciał wwiesić wszystkich w szafirowe wrota,
spojrzą przelotnie w jego wzrok zdziwiony
i... wkońcu rzucą garść lepkiego złota.

JESIENŃ W PARKU

Przyszła. Usiadła w rdzawo-złotym płaszczu
pod wyprężonym kasztanu pilastrem.
Czeka na kogoś i patrzy przez haszcze,
przez zgasłe klomby, gdzie kwitły wpierv astry.

Czeka na ławce przy końcu alei,
czeka cierpliwie, skupiona i cicha...
Już zda się idzie... — nie, kroków nie słyhać,
to płaczą liście w wichrowej zawiei.

Czeka i myśli. Myśli — ale o czym?
Coraz się szczelniej otula pod szyję...
Zimno... wiatr wściekły coraz głośniejszy wyje
i coraz śmieiej targa jej warkocze.

Czasem się trwoźnie rozejrzy dokoła,
wstanie na chwilę, wolno się przechadza,
przejrzy w basenie, i włosy przygląda...
i znowu słucha, czy jej kto nie woła.

Z głównej alei słyhać nagle kroki!
Idzie już, idzie... za chwilę się zjawi...
trzeba raz jeszcze rzucić w basen okiem,
z babiego lata woalkę poprawić...

On szedł — naukos, Listopad buńczuczny;
po drodze garścią zrywał liście dębom,
swawolnie, wartko, beztrosko i hucznie
szedł, pieśń hulacką gwizdząc poprzez zęby.

Ujrzał ją — zaśmiał się głośnie, szeroko,
aż drzewa gętszą kapnęły posoką.
Podbiegła tęskna i jak dziecko prosta.
(Tylko coś nagle zaszlochało w ostach.)

Szli przytuleni i wszeptani w siebie —
liście lecące zakrywały ślady...
Gdzie krwawe chusty wisały na niebie,
szli przytuleni — Jesień z Listopadem.

A pod parkanem, gdzie ziemia się czerni,
ktoś upadł nagle, ktoś głucho zapłakał;
jęk zawisł ciężko na bezlistnych krzakach —
to konał w męce zdradzony Październik.

LOTY

Red. A. Trelli

O loty moje rwące!
Nieposkromione!...
w firmament, między gwiazd tysiące —
loty, loty szalone!...
Piorunne, rozpętane tytanową mocą,
nocą,
gdy ciało nędzne w odrętwieniu drzemie,
gdy na ziemię
szarą płachtą opadną wkrąg mroki...
Loty, loty szalone,
rwące, niezmierzone...
... w obłoki...

Lecę...
rozwianym włosem chłoszcząc wichrów fale,
skrzydłem strącając księżycę —
dalej... dalej...
w oczach błyskawice,
w rękach palące pioruny!...
Hej! — bieguny,
loty moje...
prędzej, prędzej w nieb podwoje,
ponad światy, ponad chmury,
przez tumany mgieł, zawieje...
— cóż mi morza, cóż mi góry?...
Proch... pigmeje...
Ziemia niknie — niema ziemi!
Lecę tylko ja w przestrzeni —
rytm się zmienił, wir się zmienił,
mknie pochodnia gorejąca —
duch skrzydlaty...

jednym ruchem ścieram światy,
jednym tchnieniem gaszę słońca.
Za mną, jak ogon ognistej komety
mkną ludzkie serca —
rozwieszam je jak kinkiety
na masztach mgławic,
w lunach błyskawic
i w wszechświat pędzę.

Dopadłem !...

Kędy się zrywa nagle mleczna droga,
poza granice bytu i wieczności
do słońca cudu, praźródła światłości!...

Dopadłem...

I piersi pełne i usta mam

B O G A.

SZARUGA

Red. F. Fikusowi

Rozpląkała się jesienna szaruga,
rozpląkała...
za oknem stoi drżąca cała,
w welonie mgieł...
w dżdżu ciężkich strugach
i patrzy oniemiała
przez męty szkieł...
....szaruga....
Po szybach krople jedna drugą goni,
brzęknie, dzwoni
i spływa ciurkiem za okiennic krańce
w swojej wędrówki tajemniczy kres,
by w mroków toni,
nim się zza chmury szary brzask wyłoni,
spłynąć łez
rózańcem...
Chlupie w oddali rozrzedzone błoto —
pluskocze... moknie...
czasami wicher w kominku zawyje...
Przy oknie
jakaś gałąź bezlistna o futrynę bije...
i lka tęsknotą.
Chciałoby się iść przez deszcze i mgły,
pójść ciemną nocą —
lecz gdzie?... i poco?...
Czy tam, gdzie ognik się stilił
na horyzoncie?...
Czy tam, gdzie w dziurawym gonicie
wiatr rozszalały zawodzi swe pienia?
albo za płotem
złowić za włosy jęczącą tęsknotę,

twardem kolanem do błota przydusić
i zmusić
do milczenia ? ...

A może przywdziać płachtę deszczów gniłą
i brodzić w plusku po rozmokłych polach,
błądzić po krzewów przytulonych grzędzie
i po rolach

szukać tego, co kiedyś już było —
co kiedyś w marzeniach się śniło
i co będzie ? ...

Chciałoby się iść ... iść ciemną nocą;
tam woła coś i mruga ...

ale ... za oknem szaruga,
a zresztą gdzie ? ... i poco ? ...

ZADUMA

Ściele mi się z pod palców liljowa zaduma
na biały śnieg,
co się na horyzoncie z obłokiem pokumał
i legł
beźmiarem.

Raz przestrzenną równiną, raz urwistym jarem
niżej się myśli kryształowy ścieg,
gdzieś się w krzewy zapłaczę, gdzieś schowa się na dnie...
zniknie... przepadnie —
to znów wystrzeli nagle z śniegowej zamieci
i leci
aż po niebios brzeg.

Błądzą oczy, jak pielgrzym zamarłą Via Appia,
i snują się po dalach taflą głodnych lustr
i tęsknią w blaskach słońca, co w śniegu się stapia,
za tęczę świetlistą...
za jakimś tchnieniem wonnem... czerwienią soczystą
niecałowanych ust.

Za czynami, co jeszcze w mrokach pleśni brodzą,
za lotami, co skrzydłem tarczy Boga sięgną,
i pieśniami, co w sercu dopiero się lęgną
i rodzą...

Za dniem, co przyjdzie cudem laźtrowych strug
i rozdzwięczy nad szarej codzienności bagnem,
gdy w obłokach tęczowych objawi się Bóg,
a wargi cicho szepną: — już więcej nie pragnę...

Snują się zpod powiek przez fioletów smugi
uczucia blaskiem złotym, co nigdy nie gaśnie,
i grają mi w przestworzach w szlakach niebios długich
kolorowe baśnie...

I oplotły mi piersi i duszę i skronie
i myśli rojących się tłumy
i wyciągam w przestrzenie rozedrgane dłonie,
pełne liljowej zadumy.

UMARŁE ECHA

Cmentarz...
noc...
cienie drzew...
cisza...
krzyże, nagrobki, pomniki...
płomyki
dogasających świec.
Zaszumi czasem krzew;
zaszumi, zakołysze,
by w ciszę
zżółkłym listkiem lec.
Żywi już dawno opuścili bramy —
poszli do siebie... do życia,
zostawili ich samych...
samyh
w odbiciach
srebra na pomników bieli,
w księżycu, co się rozścielił,
drząc w najtajniejszych komyszach...
noc... srebro... cisza...

Ktoś tam niedawno szeptał w głąb bezgłośnie,
coś o miłości, o wiosnie,
przez szloch, przez lzy...
...Pamiętasz?...
Pachniały bzy,
o, takie ciężkie chyląc na dół kiście,
odurzając wonnym aromatem...
Wróciły chaty i sady i łany
i chabry modre w szczerozłotych zbożach
i świt poranków wykąpany
w zorzach.....

kwiaty.....

I nagle wstały dawne, zmierzchłe światy,
świat inny z każdej mogiły,
opromieniony każdy własnym słońcem
i rytmem różnym odmiennie tętniące. —
Groby ożyły!...

Noc... srebro... cisza...

Białą się krzyże, pomniki, kamienie,
srebrzy się Chrystus na krzyżu w gęstwinie,
a z grobów płynie
ni szept... ni westchnienie...
przez krzewy, bluszcze, przez cmentarne pola...
...Dziej się Twa wola...
...W wyrokach Niepojęty...
...Wiekuiści, Święty...

Gra blaskiem księżyc na pomników kliszach
zazumi czasem krzew...

zazumi

cmentarny śpiew...

Noc... srebro... cisza...

Pamiętasz?...

Nad światem

perlił się srebrzyście

słowik ukryty w zieleni gęstwinie —

byliśmy sami... ja i ty. —

Pamiętasz?... tam w gaju przy młynie...

... pachniały bzy...

... śpij... śpij syneczku, śpij słodko dziecino!

To ja — twoja matka — przyszłam tu raz jeszcze.

Może ostatni,
może już wkrótce złączymy się wiecznie;
dziś twą mogiłę obejmę, upieszczę,
jak twą kołyskę, gdy byłeś małeńki.
Chcę ci zaśpiewać cichutko, serdecznie,
słowa twej dawnej, o dawnej piosenki,
której dźwięk ciepły do snu ciebie tulił...
śpij... śpij syneczku... luli... słodko luli...
Nie, ja nie płaczę —
wiem, płacz mój cię boli;
to tak z radości, że... jestem przy tobie —
przecież niedługo znowu cię zobaczę!...
O! jakbym chciała być już z tobą w grobie!...
Oo.....

Ludzie już poszli, lecz zostały słowa,
słowa z przerwanej nagle życia pieśni,
i wrócił sen,
co się prześnił —
teraz na mgnienie zaczął się od nowa.

ŁÓDŹ

ZADYMIONY GRÓD

O, miasto spowinięte w gęste dymu chmury,
z wiecznie rozkopywaną i targaną jezdnią,
gdzie na peryferjach obszarpane mury
chcą walczyć swą brzydota z Twoich kałuż bezdnia!

Miasto twarzy wybladłych i zapadłych brzuchów!
Miasto maszyn drgających, szumu sulfaktorów!
Miasto wrzawy i zgiełku, gorączki i ruchu!
Wieczorem wykąpane w blaskach reflektorów.

Miasto wiecznie mówiące ciągłej pracy rymem,
Miasto wielkich przedsięwzięć, wytwórni pieniędzy!
Miasto ludzi bogatych i siedlisko nędzy,
Gdzie z krzykiem pierwszym dziecko zachłyśnie się dymem.

A jednak kocham Ciebie, zadymiony grodzie,
Całuję wzrokiem dziurawe Twe chodniki,
Gdzie moi najbliżsi w zwartym korowodzie
Szli, by zdążyć na gwizdek do brudnej fabryki.

WIOSNA W ŁODZI

Poprzez ciemń gęstych dymów błysnął promień złoty.
Zślizgnął się po kominach i po murów bloku
I do ciemnych suteryn puścił się w zaloty;
Poigrał po śmietnikach, przejrzał się w rynsztoku.
Do fabryk poprzez kraty i szyby się wcisnął —
Przestrzelił chmury pyłu i w twarz robotnika
Spotniała, zakurzona, złotym blaskiem trysnął!
Robotnik spojrział w górę, i aż się zachłysnął.
Podszedł bliżej, do okna — spojrział po chodnikach,
Na bruki i asfalty całowane słońcem —
Wychylił głowę z okna i tchnieniem rzeźwiącem
Sycił długo pierś chorą.

Ze skarłałych krzewów
Dolatywał chór ptasich szczebiotów i śpiewów.
I biła hen w niebiosa cudna pieśń radosna.
Robotnik szepnął z cicha: — Prawda, wszak to wiosna!

ŁÓDŹ W NOCY

Drzemie miasto spowite księżycą blaskami —
niezliczone kominy, co w dzień dymem zioną,
sterczą senne i ciche, czarnymi paszczami
pijąc metal księżycą — przestrzeń wysrebrzoną.

Śpią, okrywszy się cieniem kamieniczne bloki —
i prostują swe członki jezdnie spracowane,
oparłszy nagie stopy o brudne rynsztoki
świecą blade latarnie, nad czemś zadumane.

Po wymarłych ulicach wiatr, świszcząc, harcuje
i tłukąc się o mury dziwny nokturn nuci....
gdzieś zabrzączy po szybach, kurzem zakołuje
i różnemi głosami nocną ciszę klóci.

Czasami tramwaj nocny po szynach zahuczy
i przemknie jak meteor, sypiąc iskier snopy,
lub stróż nocny zaspany, dzwoniąc pękiem kluczy,
postuka po chodniku, wlokąc ciężkie stopy.

Gdzieś, na dworcu parowóz zaspany dyszy;
głos niesiony przez echo milknie — to znów wzrasta
i przedziera się głucho pośród sennej ciszy...
jak oddech zmęczonego dzienną pracą miasta.

KATEDRA ŁÓDZKA

PP. J. T. Frykowskim

Rozpostarła swe mury daleko, szeroko...
Mury wielkie, ogromne, jak niegdyś cyklopy,
W przedhomerowych czasach... aż lżą zajdzie oko,
Gdy spojrzy na wieżyce w chmurne niebios stropy.

Wewnątrz półmrok tajemny i cichość przedziwna —
Sączą się przez witraże słoneczne promienie
I kładą na posadzkę różnobarwne cienie...
Zawieszona gdzieś w mrokach drży lampka oliwna.

W górze drzemią organy z spiżowemi rury,
Gdzie czai się moc gromów w pieśń zaczarowana
I czeka, drżąc, na mistrza, aby rozelkana
Runąć lawą w sklepienie, aż zadrżą wkrąg mury.

Jak tu cicho, jak błogo... W łukowych sklepieniach
Co wiążą się misternie kunsztownemi sploty,
Zda się drgają lzy, prośby i ciche westchnienia
I ogrom mocy Bożej i ludzkiej tęsknoty.

O, jak słodko sięść w ławkach i patrzeć w twarz Bogu
I chłonać woń kadzideł i stopić się w ciszy
I snuć serca hymn cudny, co Bóg tylko słyszy,
I nie wracać do troski, co czyha na progu.

PARK PONIATOWSKIEGO

Kwieciste plamy. Żwir. Obłok zieleni.
Słońce — kadź wielka z roztopionem złotem.
Rozbłękitnione ziewają przestrzenie.
Drżą listki krzewów jarzącym nalotem.

Klomby — cyganki w wzorzystych welwetach,
w atlasie trawy kucnęły przysiadem,
z czerwonych tuzów, liljowych waletów
wróżą pachnące barwami ballady...

Kobiece twarze — rój barwnych motyli
rozmigotanych i kuszących grzechem —,
z cienistych ławek strzelają co chwila
perlistą gamą pióropusze śmiechu...

Nad stawu gładką, mieniającą się misą,
schylony łąwi swe oblicze na dnie,
zda się do głębin za chwilę zapadnie
skroplony złotem modry kwiat irysu.

W głębi fontanna, rozedrgana dreszczem
szemrzącej, cudnej, złocistej ekstazy...
Wzdycha kroplami gorącemi deszczu:
tęczy... szmaragdów... pereł i topazów...

A gdy się zorzą niebo zaróżowi,
gorętszym szeptem bzu krzew rozwonieje —
spłynie z przestworzy srebrny krąg na nowiu,
by się przechadzać parkową aleją...

NA CHOJNACH

Na Chojnach, zdala od gwarneho miasta,
gdzie się już kończą tramwajowe szyny,
nagle pod stopą inny świat wyrasta:
ogrody, drzewa, pęki bzów, jaśminy ...

Tu jest mój domek — przytulny, kochany,
jak łono ciepłe utęsknionej matki,
gdzie mnie witają uśmiechami ściany,
gdzie świat swój widzę z okna facjatki.

Facjatka stara, czarna, trochę krzywa,
lecz taka moja ... szczerą i życzliwą —
stąd mi jest jasna i najkrótsza droga
hen w nieskończoność, w błękitny, do Boga ...

Stąd wychylony spoglądam co rana,
jak z wschodzącymi blaskami promieni
drży, ogniem płonie, złoci się i mieni
barwami tęczy staw świętego Jana.

Albo jak w mgławym obłoku się chowa,
podpierający wieżycą swą chmury,
jak świat idący do słońca w konkury,
prastary kościół odległego Rzgowa.

Tu się serdeczniej ludzie uśmiechają,
a niebo sięga prawie domów szczytów —
wszystkie dziewczęta w spojrzeniach swych mają
więcej słodczy i więcej błękitu.

Wieczorem cudnie jest przejść się nad torem,
co Chojny objął miłosnym uściskiem.
Patrzeć, jak księżyc mknie ognistym dyskiem,
jak miasto z dali miljonem lamp gore...

Tu turkot maszyn i dym nie dolata
i dzień jest dłuższy, miłszy i mniej znojny.
Jak za to wszystko nie kochać cię Chojny —
ty najpiękniejsze z wszystkich przedmieść świata?

CZARNA POEZJA

TANIEC MASZYN

*Przyjaciołom z Jasnogórskiego
Grodu poświęcam.*

*Motto: Duszę człowieka okra-
dziono z nieba — da-
no mu wzamian koła,
pot i tryby.*

Siostry, siostrzyce zawieźmy tan,
zanuemy pieśń...
siostry, siostrzyce! Przez mroków pleśń
wypłynmy z pustych hal —
tam w dal...
na ulicę
na zimnych bruków wyszarzały łąn...
siostry, siostrzyce
zawieźmy tan, piekielny tan...

Powiążmy się za ręce, zatoczmy szalone kolisko,
niech wszystko pędzi, wiruje wszystko —
szybko, prędzej salfaktory,
krosna, kotły i motory,
tryby, zęby, węże pasów —
prędzej, prędzej — niema czasu:
niech się wszystko rozszałeje,
zakotłuje i zazgrzyta...
nim zaświta...
nim zadnieje
b r z a s k ! ...

Patrzcie! tam człowiek co za dnia nam służył,
leży na barłogu, w śnie szuka wytchnienia,
Człowiek, — ha, ha! pan stworzenia!...
pomiot, kał, nędzny, co przed nami zniża
trzaskającego zgięty kablak krzyża...
Cyt... tu ostrożnie... tu stoi kołyska ...

Hej! wara mi tam... kto tam kłami błyska?
Precz!... zdala od niej, niech się nikt nie waży
dotykać dziecka uśmiechniętej twarzy!...
Niech się wpierw słońca naje i napije,
niech skrawek nieba zagarnie do duszy...
Ha!... niech dojrzeje, zanim mu na szyję
zarzucim macki, zanim z krwi wysuszym!...
Niech się wpierw w jasnym wykąpie błękiecie,
niech się zrumieni jak owoc dojrzały —
nim go pochwyca nasze tryby, wały...
wtłoczą się w serce i wypiją życie, —
ale na ojca... rzućmy się pospołu —
miljontowym ciężarem na płuca,
gryźmy go, szarpmy, od góry do dołu;
O! o, już jęczy, już się wije, rzuca...
Prędeż! Nie dajmy furji się ostudzić!
Hej! — rwijmy z jego chorych nerwów włókna
ciągle, lecz wolno, aby go nie zbudzić —
z włókien uprządźmy taką sztukę sukna,
od której ciało Lucycpera spłonie...
Patrzcie! — już potem sperliły się skronie...
ha... zimnym potem.
Dalej, na duszę, na serce i mózg —
zahuczmy młotem!...
zatańczmy nad nim czeredą pijaną
chłozzczmy miljonem ognistych różg...
szaleństwem piekieł...
Bliżej, do łóżka! Jeszcze bliżej — ciaśniej,
rzygnijmy jadem, od którego zgaśnie
świat jego marzeń;
niech jego usta okryją się pianą
krwawiącej śliny.

Nasypmy w piersi żrącego zarzewia...
Hej!... my maszyny
okręćmy szyję w kurzące się trzewia,
strzaskajmy w trybach jego kruche kości...
Niech trzeszczą stawy...
Niech skomli, niech wyje...
Niech czarę męki do końca dopije...
Hej!... my maszyny, my władcy ludzkości,
pluńmy ze wzdardą w jego wzrok kaprawy —
przecież gdy słońce ozłoci nieb stropy,
przyjdzie znów do nas i poliże stopy.

Siostry, siostrzyce, zawieźmy tan,
zawyjmy pieśnią rozhukaną,
co drży jak grzmot zdaleka,
przez gęsty mroków chmurny łan —
nad ścierwem, co miało miano
c z ł o w i e k a.

STRAJK

Poprzez sale fabryczne, hen po gankach, sieniach,
wiew przeleciał złowrogi, co dreszcz w piersiach budzi;
jakieś szepty mkną głuche pośród bladych ludzi,
jakieś znaki... spojrzenia,
jakieś zdania urwane, gorączkowe.
Śmigające czółenka przez srebrną osnowę
jakoś czasem rytm gubią
i szarpia śpiące echa lękliwem stukaniem.
Zębate paszce „wilków“, sterty przędzy skubiąc,
szepczą sobie na ucho: — Coś się stanie! Stanie!

I nagle... jak pod siły tajemnej rozkazem
umilkło wszystko. Odrazu.
Główny motor, co przedtem wartkiem tętnem szumiął,
dostawszy nagle czkawki — sapnął głucho, jeszcze
spojrzał w koło — zdumiał —
i zmilkł, wstrząśnięty pełnym grozy dreszczem.

A przez drzwi i wyloty na ciemne podwórze
wysypali się ludzie gwarliwą kaskadą —
twarze blade, zlepione smarami i kurzem:
— Gdzie delegaci? — Prędeż! Zwołać radę!
Jakaś beczka dnem w górę — ta mównica świata,
co czarnemi rękoma wyzlaca pałace.
Ktoś się w ciżbie przedziera, ktoś z tłumu wylata —
staje.
Pięść czarna, spracowana grzmotnęła w pierś nagą —
w oczach płomień: — Słyszycie? ... Chcą nam zerwać płacę!
Lecą słowa pałace bólem i rozpaczą.

Tłum naprzemian to kipi, to słucha z uwagą
słów, co miażdżą ołowiem, słów, co się sobaczą
jadem wściekłości, co się dławią łzami —
słów, z których w męce krzyk straszny się rodzi —
krzyk, który rosnąc biegnie zaulkami
i raz powstawszy na wargach — nie schodzi,
lecz od suteryn i mędných poddaszy
wzlata, wibruje i bije w strop nieba:
— Dajcie nam, co nasze! —
Dla naszych żon, dla dzieci! Chleba!!!
Dajcie chleba!!!

JAN CEBULA

*Gazety pisały: Dnia 23 stycznia
1935 r. umarł z głodu i zimna
w szalasiu na przedmieściu
Łodzi 65-letni Jan Cebula,
uczestnik walk o niepodległość,
długoletni sybirak...*

Knut mu zygzakiem wrastał w plecy harde,
w mordę pięść wraża tłukła długo... długo...
rzygał zębami i czarnej krwi strugą,
lecz milczał...
milczał z pogardą.

Potem na Sybir szedł wisielczym szlakiem,
o sine dale darł dłonie do mięsa
i ból polykał w wielkich skrzepłych kęsach
i rył na śniegach lepkie, czarne znaki.

„Małczat sukinsyn!!“ kozak na popasach
warczał i kolbą prał, nahajem świstał
— „Jezus!!“

I była przepaść bezdenna i mglista,
co głucho, głucho huczała gdzieś w głowie,
i but, co miażdżył twarz tępym ołowiem,
na ustach słoność kutego obcasa...

Potem trza było długo po śnieżycach
tarzać się wściekle w opętanej męce.
W niebo wyciągać skamieniałe ręce
i wyć z tęsknoty, jak pies do księżyca...

Na gwiazdnych żużlach duszę wciąż przypiekać
i skomleć... skomleć, aby choć zdaleka
przez gorejące na przestworzach kraty
MATCE krwawiące całować stygmaty...

Lecz przyszedł grom, co strzaskał pęta,
i wstała Wolna, Niepodległa, Święta...

Wrócił Cebula do ojczystych progów
i łkał ze szczęścia... i dziękował Bogu.

A potem... potem
(przeklęte słowo, co jak rana boli)
...konał powoli
w łunach stygnących mroźnego zachodu,
jak pies pod płotem...

Przy boku braci,
za których wolność krwią serdeczną płacił,
konał...
konał z głodu...
Tak było ciężko konać...
tak ciężko
bezsilne ramiona
dźwigać do mieszkań przytulnych i ciepłych.
I w gorączkowej potwornej malignie
słyszeć, jak stygnie
reszta za braci niewylanej krwi...
Polykać lzy,
które krzepły...

A tam...
(O Jezu... Jezu... Jezu...!)
szaleli!...

A tam...
nurzali się w topieli
zagrabionego na nędzarzach złota!!
~~Tak wino chlali, likiery, koniakii!~~

A tam się gziły pijane kokoty!!
A tam rzygali szampanem w kloaki!!!

Wichr hen za miastem wściekał się i hulał
Gdy konał z głodu starzec Jan Cebula...
Tylko na murach zachód krwią ociekał...
O Polsko... Polsko... jakżeś Ty daleka...

O... nie mów, nie mów starcze bojowniku
swoim poległym w walkach towarzyszom
o takiej gorzkiej za czyny zapłacie...
Nie mów na Boga! Na imię Maryji!!
bo gdy Twe skargi dławiące usłyszą
powstaną z grobu w krwi swojej szkarłacie
ze strzępem stryczka wiszącym u szyi
i rany skrzepłe na nowo otworzą
i rąk szkielety wzniosą i zagrożą!!

A potem płacząc szaty będą darli
i pożałują, że dla nas umarli...

Odszedłeś starcze do mrocznych zaświatów,
Polaku prawy, żołnierzu najszczęśliwy...
Dziś ja, choć jeden, na grób zamiast kwiatów
rzucam ci garstkę krwią pisanych wierszy.

W FABRYCZNEJ HALI

W fabrycznej hali, w chaosie huku,
w czólenek szybkich rytmicznym stuku,
co chcą rozsadzić brzegi swych ram
i mkną jak strzała puszczone z łuku:
raz tu — raz tam, raz tu — raz tam!

śnią mi się lasy, pachnące lasy
i przecudowna soczystość łąk,
i dawne, cudne dzieciństwa czasy,
i kwiaty barwne prześlicznej krasy —
w fabrycznej hali pachną mi wkrąg.

W fabrycznej hali śni mi się słońce,
śnią mi się niwy rozległych pól,
gdzie chóry wiodą świerszcze grające,
gdzie piosnki swoje słońcem tętniące
sieje skowronek — niw kwietnych król.

W fabrycznej hali słońce nie gości
i nie tka cudnych, złocistych lam,
tylko czólenka w mrokach ciemności
suną jak gady, pełne wściekłości:
raz tu — raz tam, raz tu — raz tam!

BRUK

Siny,
poprzerzynany nożami tramwajowych szyn
pręży się codnia
pod butem tłukącego go przez pysk przechodnia —
i liże skomlać miljony nóg —
bruk.

Wbity, jak klin,
pomiędzy mury tysięcy kamienic,
przykryty pyłów i brudu kapturem —
wytrzeszcza w górę
miliardy tępych, ogłupiałych źrenic
i jęczy głucho, głucho, niezaradnie
pod kłami szarpiących go kół
ciężarowych aut.

I codzień padnie,
codzień z rozpaczą w oku
szaleńczo wystawia swe plecy na gwałt
huczących młotów...

I codzień krwawi
tysiącem ran popekanych.

Codzień się pławi
w zlewach gorycznych błotnistej potu,
w westchnieniach kurzu ulicznego smug —
zdeptany,
stratowany,
bruk...

Obijając o rynsztok obnażone kości
wije się, zgrzyta
i drży spotniała w gorączkowej febrze.

W śmiertelnej męce,
wyciąga z pyłów kamieniste ręce,
za nogi chwyta
i żebrze
litości...

Czasem się buntem zarażą kamienie,
zapragną naraz wyrwać się z męczeństwa
i błysnąć oczu płonących przekrwieniem,
rzygnąć przekleństwem.

Wyrwać się nagle z swych więziennych łoż
i runąć grzmotem w zimne kamienice —
pod serce miasta dynamit podłożyć
i rwać i miażdżyć wozy i tramwaje,
tłuc i gruchotać!!...

Ale chłaśnięty żelaznym nahajem,
ale wyrżnięty twardą pięścią młota —
milknie...

I znów, jak przedtem roztacza się we łzach...

I znów
poszarpią go koła ostrzami swych kłów,
strumieniem gęstych, rynsztokowych łez,
będzie znów pełzał
pod bezlitosny, kamieniczny próg —
pokorny jak pies,
stłoczony,
ujarzmiony
bruk...

I tylko nocą,
gdy miesiąc wszędzie na niebo karocą —
bruk wzdycha...

Żalą się zcicha
bracia-kamienie...
I śni i tęskni miljon spiekłych warg
do gór, gdzie limba wyrosła wśród piarg
nad strumieniem...
Do mchów jedwabnych w bełkotliwej fali
podścieliska,
gdzie nurt figlarny bawi się i pryska
deszczem opali...
Do słodkich twarzy księżycowych cór,
co pierś gorącą chłodziły o głązy
po płasach...
O szczytach gór,
gdzie rankiem cudny, złotolity bóg
kwiatem kapiącym kroplami ekstazy
strząsał
ze świata srebrny feston mgły —
śni...
siny bruk.
Zdeptany
i oplwany
bruk.

Ale się kiedyś zmówią bruki wszystkich miast,
wyrwą się z ulic i w górę się cisną,
jak meteory rozżarzą szkarłatem
i nad światem
zamiast gwiazd
zawisną!...

DYMY

Snują się ponad miastem czarnym baldachimem,
oparte o wysmukłych kominów las gęsty,
i wloką ciężkie cielska z niesłyszalnym chrzęstem —
d y m y

Raz się kłębią, walczą, jak ogromne smoki —
to znów lekko mkną w górę, baraszkując w tańcu,
i znikają w bezkresnych horyzontu krańcach.
Hen daleko, daleko, że nie dojrzysz okiem.

A pod spodem, w kotłownicach, pośród trzasku iskier,
zasmoleni kotłowi zakasawszy dłonie
czarny węgiel w żar sypią — na spoconych skroniach
pochwytyjąc płomienia huczącego błyski.

Dymy sprzęgły się z ludźmi straszliwą przysięgą,
a złamanie umowy grozi widmem głodu.
I błędnie stara matka, gdy ze słońca wschodem
wstanie i nie zobaczy czarnej dymu wstęgi.

Lecz znów uśmiech zagości na powiędłej twarzy —
i gada coś do serca słodko brzmiącym rymem,
gdy wkoło po bezkresach snują swe miraże
d y m y . . .

TKACZ

Tkaczu — tkaj sukna, jedwabie, muśliny ...

Tkaj tkaczu! ...

Niech dźwięczy osnowa jak struny,

niech śmigle bieguny

zawarczą, zachłysną się w locie.

Czyżbyś zapomniał smarować maszyny?

Tkaj tkaczu! ...

sztuk ... metrów krocie! ...

...oczy spuchnięte jakgdyby od płaczu ...

twe ręce dzisiaj są jakby drewniane ...

Baczność! — bo „sica“ za chwilę wyskoczy —
gdzieś podział oczy ...

...nogi się chwieją? ... cóż to, czy pijane? ...

Że w domu chłodno i zabrakło chleba,

że jakieś oczy w gorączkowym blasku

sypią ci w duszę zwał żółtego piasku,

piasku, co mrokiem zasypał ci nieba,

że wicher skowytem przez izbę przechodzi —

cóż komu szkodzi! ...

Tkaj tkaczu! ...

prędzej ...

zwijaj się żwawo, skacz ... akord masz przecie,

no dalej! rusz się, niech się nitka plecie,

łączy w tysiące, miliony wiązań.

Grzmijcie czółenka łoskotem kowadeł,

niech się towaru przewija wąż długi —

metr jeden ... drugi! ...

Czego ci smutno? —

Czy to dlatego, że dziecka twarz mała

jest taka biała,

jak płótno? ...

Co, drży ci serce, chce z łona wyskoczyć,
wzrok ci zaćmiewa jakaś fala szkliwa?...
dzień ci się mroczy?...
Uważaj psiakrew, bo nitka się zrywa!...

Patrz!... śliczny atlas miękki, połyskliwy,
jak będzie leżał na krągłych ramionach,
różowych piersiach, roześmianych łonach;
w salonach
gdzie się rozpostarł dziko jazz wrzaskliwy...

...strugi szampana...
tłum — tłuszcza pijana...
jarzące światła. Toasty, kinkiety...
przegięcia słodkie... czar tonów uroczy...
błyszczące oczy...
kobiety...
Brzuchy się grubym zatrzęsły rechotem —
zalsniły złotem
gęby bogaczów.

Tkaj tkaczu!...
Hej! — zasłoń usta!... Któż na towar pryska
kaszlem płuc chorych, grudką krwi wyplutej.
Co, bunt ci żeber rozsadza łożyska,
zazgrzytał w krtani na piekielną nutę?...
Serce z ludzkiego zrobiło się wilcze —
chciałbyś rznąć w tryby pochyloną głową?...
Milczeć!
Załóż tam, durniu, szpulkę nici nową!...

Tkaj tkaczu !...

podwój się, potrój, rzucaj, ciskaj, miotaj! —
prędzej i prędzej... zagłusz ból, co wyje,
palące kleszcze zaciska na szyję...

Hej! prędzej, prędzej, jeszcze prędzej, żwawo,
aż się podłoga zatrząśnie kurzawą,

wzburzy spiekota —

zgorzkniały język zapieni się śliną !...

maszyna tobą — ty stań się maszyną...

nie myśl o domu, o głodzie, o płaczu...

tkaj...

Tkaj tkaczu !...

MASZYNY

Ruch!

Szum!

Łoskot!

Pasy jak śliskie gadziny
mkną z sykiem po transmisyjach, suną się i prężą,
wciąż naprzód, bez wytchnienia.

Mijają godziny,

dni, lata całe...

A one pędzą zawsze, w nieskończoność pędzą...

Śpiew jakiś twardy monotonnaie gędzą

Wielkie!

Wspaniałe!

M a s z y n y !

Z paszcz im ciekące kapią gęste smaru śliny —
wśród nich robotnik cichy, trwożnem uchem łowi
ich rytm nieustający. Każdemu zgrzytowi
przeciwstawia się szparko

i pełną oliwiarką,

zasila ich zgłodniałe żołądki i płuca.

Smok-maszyna zre przędzę, a wzamian wyrzuca

tkaniny: sukno, korty, jedwabie i płótno —

i zionie żrącym pyłem w twarz człowieka smutną,
aż go spali i wessie, wchłonie i zniweczy.

A jeśli zginie wkońcu korny rab człowieczy,
to przyjdą zaraz inni, wszak on nie jedyny...

A one wciąż trwać będą lata, wieki całe!...

Wielkie!

Wspaniałe!

M a s z y n y !

ROBOTNIKU SZARY

Do ciebie mówię szary robotniku!
Słowa me szorstkie, jak szkarpy granitu,
Bom je kształtował w serdecznych mąk krzyku,
W chaosie szału i rozpacz y zgrzytów.

Jeśli me słowa tak zakipią bólem,
Aż krwi lachmanem słońce naglé spłonie —
Niech się nie dziwią giełd i trustów króle,
Przesuwający wypieszczone dłonie
Po brzuchu krągłym, spasionym i gładkim. —
Jam ból ten wyszał z wyschłej piersi matki!...

Nie umiem bawić brząających słów muzyką,
Lecz powiem z serca, jak czuję, jak umieram...
Nam tylko znanym dławionym językiem.
Ty mnie zrozumiesz!...

... precz z drogi zgrajo błyskająca złotem!
W proch! Na kolana! Łbem uderz o bruki!
Ej! Wy niesyte, krwią pijane kruki,
Zegnijcie w hołdzie utuczone krzyże...
Niżej!...

Bo oto idzie, rosząc krwią i potem,
Zastęp widm szarych o ściemniałych twarzach,
Co kosztem życia uwieńcza wam skronie.
Nuże na pyski przed pracy ołtarzem —
Znękane, czarne ucałujcie dłonie!!...

Widzę!!!
Już błyska odblask jutrzni złotej
Na horyzontach już się palą luny —

Gdzieś wewnątrz ziemi drżą straszliwe grzmoty,
Czają się w chmurach błyskawic pioruny...

Iskra !!!

I buchnie ogień kryształowy

Z stugromnym hukiem! Wichrami płomieni!

Ciemność... Łzy... Rozpacz... w kupę gruzów zmieni

I świt powstanie cudny! Polski Nowej!

— — — — —
I wstaną blaskiem jaśniejące czasy,

Że już nie będziesz w ojczyźnie parjasem,

Nateżysz płuca radości okrzykiem,

Aż niebo przedrze pieśń triumfem brzmiąca,

I wtedy razem, szary robotniku,

Pójdziem na podbój promiennego słońca!...

G D Y B I J E P I A T A !

Otwarto bramy fabryk — i tłum jednolity
Wysypał się stłoczony, spotniały i zbity.
Smok-fabryka odetchnął, jakby rzygnął kałem
I jakby niestrawione wyrzucił odpadki.
A gdy już szarej masy wyszły zeń ostatki —
Sapnął jeszcze raz silniej, i już pasmem małym
Dymił na horyzoncie. I do snu się zbierał.
A tłum rósł na chodnikach, potężniał i wzbierał.
Zakipiał na zakrętach i wśród szumu gwarów
Rozlewał się w ulice, jak powódź wśród jarów,
Radosny, że za chwilę spocznie po dniu znojnym
I nabierze sił nowych w śnie swym niespokojnym,
By jutro wczesnym rankiem wymknąć się z okrycia
I dać znowu fabryce częśćkę swego życia.

CZARNA POEZJA

Przyszła do mnie —

ONA.....

kiedyś, gdym stał u maszyny.

Objawiła mi się w kroplach potu,

w wysiłku prężącym ramiona,

w smaku gorzkiej śliny

wśród chichotu

złośliwych, mknących z sykiem pasów.

Przyszła

ona... czarna, symbol czasu —

wykwit dymiącej, umęczonej krwi.

— Jestem! — To ty?....

Gdzieś cię widziałem, lecz gdzie — nie pamiętam...

lecz czekaj... czekaj... — wiem już — w oczach suki,

gdy jej oprawca rozrywał na sztuki

małe szczenięta...

W charkocie, który konał w uścisku obroży.

A potem... w oczach zgłodniałej dziewczyny,

gdym widział jak bladł

skrawek błękitu zamknięty w źrenicy

patrzącej w świat —

w świat Boży.

Ty jesteś inna od tych wszystkich innych;

poczęta w błyskawicy

burz rozszalałych w obłąkanem łonie,

gdy płonie

w oczach krwawą płachtą zgrzyt!...

O... — i ty masz swój rytm!...

Słyszysz ten straszny, przygłuszony śpiew,

jak dźwięk chropawy pękniętego dzwonu?
to łyż... to krew...
to pot... setek... tysięcy... milionów —
kapiące zwolna w zimny światła gład...
Płyną
monotonną strugą;
kropla goni drugą —
dniami... godzinami...
stał w biegu czas!
... a one płyną
w przyszłość — w zmierzchny męt.
To twój rytm!...

Niema w tobie Romeów, Beatrycz ni Julij,
pachnących słońcem, dźwięczących sonetów,
lecz jest muzyka — o, tak — chrzęst szkieletów,
okrytych strzępem spotniałej koszuli —
muzyka głodem rozżętnionych trzewi...
jest śpiew... jest śpiew...
tłukących łbami o zębate koła,
na których jeszcze nie zakrzepła krew...
jest śpiew... jest śpiew...
biegnący w dale echem odbiciem,
szaleństwa wyciem!
Jesteś czarna, jak twarze tych licznych milionów,
tych wszystkich,
wlokących ciężki łańcuch z kołyski
do zgonu.
Poznałem cię —
to ty byłaś we łzie mojej matki,
wypłowiałej od balji, gdy chleba ostatki
kładała mi w dłonie.

Padłaś mi na skronie,
jak przyszyłych lasów siew...
Chodź!...
Czuję twój zew!...
Pójdziem na rostrum świata,
płonącą żagwią poorzem po niebie,
aż stanie w szkarłatach.
Chodź!
Ty jesteś — ja,
tyś mnie zrodziła — a jam stworzył ciebie.
Słyszysz? — głaz drga...
Chodź!

Czas pomyka.

Nastroję ciebie na najwyższy ton,
stanę na rostrum, ja — syn robotnika,
bitego ciągle przez opasłą pięść —
dobędę ogień z zasklepiionych łon,
zanucę pieśń.
Patrz, jestem silny — nie zadrży mi ręka.
Widzisz? — głaz zbladł...
pęka...
...może runie świat?.....

DŁONIE KU NIEBU

OJCZE NASZ...

Ojcze nasz, który jesteś w niebie,
wysoko, nad chmurami,
wielki, potężny, na złocistym tronie:
oto wołam do Ciebie...

Oto dłonie
wyciągam pozlepiane mrokiem...
O, Ty, co ponad światami,
udrapowany w szlaki mlecznej drogi,
gwiazdy w proch strącasz jednym ruchem nogi,
Ty, co twarz swoją ukrywasz przede mną,
że Cię nie mogę dojrzeć błędnem okiem...

Ty, coś noc ciemną
ufryzował wichrami i gwiazdzisty grzebień
wplócił jej w warkocze splecione żalobą...

Oto stoję przed Tobą
Ojcze nasz, który jesteś w niebie.

Czy słuchasz mnie?
Ty, który wieki, jak piłki w otchłani
rzucasz i słońca gasisz jednym tchnieniem.
Ty Wszechobecny, Wiekuisty Panie,
wsparty na tęczy różnobarwnej łuku,
którego imieniem
światy się rodzą i gasną wśród huku...
Nim mnie noc czarna wchłonie i pogrzebie
wołam :

— Ojcze nasz, który jesteś w niebie —
wołam modlitwą, co usta mi krwawi,
co piecze w krtani, jak bolesna rana.

Patrz:

oto idą nędzni i kaprawi,
oto drżą z głodu wyschnięte kolana,
oto trupami wkrąg usłana gleba
tych, którym zbrakło powszedniego chleba...

A Tyś kazał modlić się do siebie,
słuchałeś szeptów krwią i łzami drżących:
„Chleba naszego...

...daj nam dzisiaj“...

O Wszechmogący!

Ojciec nasz, który jesteś w niebie.

Patrz:

Tam, na trupach zarzynanych braci,
szaleje tłuszcz, pobrzękując złotem —
pod kainowym, krwią zbryzganym młotem
wypryska z czaszek mózg.

A Tobie zbrakło płomienistych różg...
Za bratobójstwo piorunem nie płacisz...

Patrzysz spokojnie gwiaździstym milczeniem,
jak uwieńczone różami rydwany
miażdżą kołami piersi i gołenie,
i tylko słowa podjęte z warg sinych
co z krwią spłynęły do Ciebie:

„Jako my winowajcom...

...odpuść nasze winy“...

O Ty Niezbadany!

Ojciec nasz, który jesteś w niebie.

Lecz choć mnie rozpacz porывa za włosy,
krzyczę do Ciebie przez góry i pola:

— „Bądź Twoja wola“...

Choć po zarzewiach idę skrwawiony i bosi,
choć piekło w duszy skwierczy mi i płonie,
choć na mych śladach krwią wytryska rola,

wyciągam dłonie

i wołam:

— „Bądź Twoja wola“ ...

Ale mnie nie wódź na pokuszenie,
ale już nie chłószcz, ale daj wytchnienie,
miej zmiłowanie

Panie! Panie! Panie ...

Niech mnie dłoń Twoja świetlista zachowa,
bym piekielnego nie wykrztusił słowa ...

Na krew, łyzy gorzkie, rozpacze i znoje,
nim nas noc ciemna na wieki pogrzebie —

— „Przyjdź Królestwo Twoje“ ...

O, Ty,

Ojciec nasz, który jesteś w niebie! ...

NAZAREŃCZYK

Hosanna !...

Wyległo z bram swych Jeruzalem:
Młodzieńce, męże i rój dziewic wiotkich,
ze drzeniem łon
słodkich,
jak prężące się w zboczach woale
złotawych gron.

Hosanna !...

Wyległo z bram swych Jeruzalem:
Patriarchy, kapłany, celniki,
nierządnicę, mulniki...
Magdalena w kaskadzie swoich włosów złotych,
z szeptem, jak wdzięczne szemranie Jordanu,
pełna tęsknoty.

— Chwała na wysokościach Panu!

Hosanna !... — zabrzmiały wkrąg chóry —

Uciszcie się lasy, słuchajcie o góry,
bałwany morskie zniżcie swoje grzywy,
ciesz się i raduj królu nasz, Dawidzie!...

Bo oto idzie

Sprawiedliwy...

Hosanna !...

Rzucali palmy i szkarłatne szaty
pod nogi.

Wszystkie progi

zdobiły wieńce, mirt i kwiaty.

On szedł do Jeruzalem...

Z poszumem cedrów z Libanonu grzbietów,
z słodkim owalem

lic,

Jezus z Nazaretu.

Nie żądał nic,
ni chwały,
którą mu lud dziś stopy chciał ozłocić,
ni kwiatów,
ni palm ni chust wspaniałych...
Chciał ścieżki wszystkim zawile uprościć,
podnieść wyklęte
i święte
rozplomienić oblicze miłości.
Koić cierpiących i stłumić westchnienia
i cieszyć się jak dziecko z całym ziemskim ludem —
niebiańskim cudem
p r z e b a c z e n i a...
Ból, rozpacz, ciemność zgładzić i zniweczyć,
zmienić w raj padół zgrzytów i szkieletów...
Szedł...
S y n c z ł o w i e c z y.
Jezus z Nazaretu.

Szedł...
Nagle się wzdrygnął!
Krwawiła się w lunach za miastem Golgota...
Z pod stóp mu wyrósł czarny drzewa kloc...
Spojrzał...
Za murem, posepny jak noc,
Stał Judasz Iskarjota.

BÓG SIĘ RODZI

Na polach dywan puszysty i biały —
stół biały i biały opłatek —
świat się wybielił, wyśnieżył się cały —
skrzą gwiazdy.

Biały opłatek biorą drżące ręce,
opłatek biały ...
coś się wzruszyło i zadrgało w łonie —
czyjeś tam szronem wysrebrzone skronie
chyla się nisko, by spić lzę ukradkiem,
— lecz lza spłynęła po ustach, co drżały,
i padła przed białym opłatkiem ...

Niebiańska jasność blaskami olśniewa,
skrzy brylantami śniegowej powodzi
w ciszy wieczora ...
gdzieś się słodyczą wśród światła rozspiewał
jakiś cudowny niewidziany chorał:
Chrystus — Bóg się rodzi!...

Rodzi się Miłość, Słodycz, Cud Zbawienia —
jakiś wiew boski wokół się rozścielił —
wybielił serca i dusze wybielił ...
.... i już nie boli... już znikły westchnienia ...

Cicho!... Bo Słowo już się Ciałem stało.
Słowo ...
Już biegnie echem przez przestrzeń śniegową
tak cicho, słodko... uroczyście... biało ...
drży, błękitnieje strugą światła jasną —
coś tak rozpiera, coś tak sercu ciasno ...
Och!...

Rozepchnąć ściany i wybiec na śniegi
i wziąć ze sobą ten opłatek biały,
obdzielić sercem niebo i świat cały!...
Hej!... wszystkich, wszystkich po krańce, po brzegi!...
Stopić się jaźnią w brylantowym cudzie,
w rozmigotanych tysiącach promieni
i gnać z blaskami od chaty do chaty...
do ciemnych sieni!...
zabłysnąć gwiazdą, co na niebie wschodzi,
i krzyżeć wszystkim: słuchajcie o ludzie,
światy słuchajcie! Chrystus! Bóg się rodzi!

Z M A R T W Y C H W S T A N I E

Rozdzwoniły się dzwony na Twe zmartwychwstanie...
Głoszą wieść tę radosną światu wzdłuż i wszerek.
Rozśpiewały się hymnem wichry i otchłanie,
pochwyciły pieśń cudną serca wiernych rzesz...

Rozdzwoniły się dzwony na Twe zmartwychwstanie,
uderzają w niebiosa w jeden srebrny ton —
od mórz wielkich, spienionych, po gór śnieżnych granie
i hen... wzbily się w górę, pod niebieski tron.

Zagrzmiał organ spiżami, zachłysnął się pieśnią
i wypełnił świątynię po wierzchołki wież,
i dźwięk gromki przeleciał ponad nędzy pleśnią
i obudził drzemiących w wnękach nor i leż.

I wypelzli z kryjówek, gdzie czekali końca,
i wywlekli na zewnątrz ropnie swoich ran —
po raz pierwszy bez bólu spojrzeli w twarz słońca...
Bo to przecież... tak, dzisiaj... dziś zmartwychstał Pan.

Lecz, gdy wyjdzie z kościołów tłum huczny, wesoly
i umilknie już echo niezliczonych stóp —
ech... ich przecież nie wezwą za świąteczne stoły...
Ty się dla nich, o Chryste, znów położysz w grób.

I powloką się zwolna za murów występy,
do swych piwnic i strychów, co dają im schron,
i zawieszą w rozpacz y wzrok niemy i tępy
i znów będą czekali na koszmarny zgon.

O!... lecz wierzę, że przyjdzie inne zmartwychwstanie,
że przyjść musi płomieniem, wszak Bogiem jest Bóg,
że na wichrach i gromach złoty anioł stanie
i rozdzwięczy nad światem kryształowy róg.

Wtedy wstrząsną się skały i zaryczą morza
i zakipią wulkany bluzgiem wrących grzyw.
Błysk!... Rozedrą się gromów zygzakiem przestworza
i wyłonisz się z grzmotów świetlany i żyw.

Hej! — Rozepniesz szeroko przekłute ramiona
na srebrzystych tęcz łukach różnobarwnych gam
i przytulisz znękanych do świętego łona
i powiedzisz, jak dzieci, do miłości bram.

Wtedy przyjdzie to wielkie święto Zmartwychwstania
i obejmie miłością bezmiar wszystkich pól —
wtedy głodnych i bitych w świecie już nie stanie...
Anioł ogniem wymaże wyraz: l u d z k i b ó l !

C R E D O

Nie !...

Nie pójdę, jak inni z wypranem odzieniem,
z licem gołębi —
lecz się wpierw stoczę do głębi
kamieniem !...

Lecz się wpierw w posoce zanurzę po szyję,
lecz się wpierw brudami i grzechem opiję
i wszystko zagarnę:
westchnienia czarne,
jęki i zgrzyty,
łamiące kurcze, konwulsyjne drgania,
chwytty
kościste wolnego konania...

Wszystko, co ziemskie, wszystko, w czym się tarzam,
zwlokę na stopnie Twojego ołtarza,
rzucę to wszystko na słońc Twoich ścianę
z chrobotem cierni, obłędu szelestem
i stanę,
jakim jestem —
z sińcami i ranami,
z błędami, przywarami.....

Stanę
przed Twojem obliczem,
lecz już nie Prochem i Niczem —
lecz krzykiem — krzykiem w krtań wtłoczonym,
stumiljonowym, szalonym,
soplami rubinowych strug
płynących z warg,
ścieżkami kamienistych dróg,
trzeszczeniem przywalonych bark....

Stanę,
jak pies skopany i bezdomny,
jak posąg ogromny
u Twych złotych krat.

Przez wieczność całą, do skończenia lat
zapłonę ócz pochodnią — ogniem gorejącym
i będę stał... milczący...

... Milczący ...

Aż powiesz, że nieprawdą, że to kłamstwem było:
ten mrok i te otchłanie,
to ręk załamywanie,
że to nieprawdą, że to nam się śniło!...

Tyś przecież dla nas przelał krew w ofierze!...

Chryste!... Wierzę!...

Tobie też znana jest śmiertelna febra
i Tyś się pławił w Swoim krwawym pocie,
gdy na Golgocie
najemny żołdak kopał Cię po żebrach.

Chryste wierzę!....

Bunt, co mi w piersiach łopocze i rzezi,
zdławiłem w szczęk swych ściśnionych uwięzi
i wierzę.

Wierzę, że przyjdzie dzień,
dzień, chwila, minuta, błysk,
gdy milion rąk,
las popekanych, zczerniałych rąk
uderzy w słońca płomienisty dysk,
jak w gong!.....

Choć mi skroń huczy pod kolbą uderzeń —
wierzę!

Wierzę tą wiarą przepastną, niezłomną,
jak mur ze stali, jak wszechświat ogromną,
co zdolna kruszyć najtęższe pancerze —
wierzę... Chryste, wierzę!...

Z wiary i bólu ukutym orężem
ja serce Twe
zwycięzę!...

Zejdiesz na ziemię znękaną i czarną,
odgarniesz gruzy rękami jasnemi
i męki zwały —
posiejesz Swoje życiodajne ziarno
i wstanie wielki, wspaniały

SYN ZIEMI!...

PRZYDROŻNE KRZYŻE

Red. Leonowi Trelli

Stoją ciche nad światem,
przy drogach, na kurhanach,
w szkarłatach
łun, —
prężąc ramion swych struny,
falami dżdżu splakane,
ofiarne
nadziemską miłością,
omszałe patyną czasów,
pochylone... czarne...
pełne litości...

Z przydrożnych łąk i pól,
z niemi babiego lata,
z pod szarych, mchem obrosłych strzech
przylata
do nich ludzki ból
i lzy...
Opary czarne grzechu
wiją się przy nich ciemnymi smugami —
wśród westchnień mgły,
zebrzące łaski legły w proch.
I jęk...
I szloch...
zdeptanych... poniżonych...
I skargi... ciche skargi...
spieczonych bólem warg,
drgające dźwięki
dusz rozciągniętych na żagwiach rozpaczy —
płaczą...

w błyskawic gromnych blaskach —
światliste
łaską...
Wichr blaszanym Chrystusem o drzewo kołacze.
I szumią warkocze brzoź
i płaczą
nad krzyżem, co wrósł
w niewdzięczny łan.
Gdzieś szatan ogniem opętany
harcuje, zgrzyta
po bezdrożach —
wyciąga milion drapieźnych rąk,
by szponów krwawy chwyt
ścisnąć na gardle świata!...
Lecz nagle zbladł...
przed Bożą
Męką...

A one stoją —
na rozstajach, kurhanach, pod lasem
księgi zmierzchłych lat,
znaczone zębem
czasu...
nad światem —
skroń swą cierniową chyląc coraz niżej —
przydrożne krzyże.

KOŚCIOŁEK WIEJSKI

Z wiekową brodą mchem obrosłych gontów,
usiadł przy drodze stary i zmęczony —
płaszcz ciemny lasu ma od jednej strony,
pola szumiące chabrami od frontu.

Siedzi i дума, jak pielgrzym sędziwy,
po przyjsciu z sinych i nieznanych dali —
obok dzień letni przechodzi ospale,
pot ocierając z pod płowych zbóż grzywy.

Noc mu na barki kładzie ciemne dłonie,
a górą gwiazdy, czesząc srebrne włosy,
na twarz mu sypią krople słodkiej rosy —
łaki go w ciepłe otulają wonie.

On дума ciągle spokojny i cichy,
tyle dni przeszło i nocy już tyle —
różańcem dawne oplotły go chwile
i kwiatów zmarłych powiędłe kielichy.

On stoi ciągle cichutko pod lasem,
śniegi na górach zmieniły się w rzeki,
obok jak ptaki przeleciały wieki...
On trwa, jak gdyby powziął rozbrat z czasem.

Gdy doń przechodzień zbłąkany zawita,
Serce swe do stóp podściele mu nisko,
ręce wyciągnie i o nic nie spyta,
tylko przytuli i zrozumie wszystko.

Czasem zapłacze nad ludzką niedolą,
gdy go jęk cichy z pod strzechy doleci,
czasem uśmiechnie, gdy rumiane dzieci
u stóp mu w trawie wesoło swawolą.

Próżnobyś z miejsca chciał go ruszyć bracie —
on tak ukochał te pola i niwy,
jak brat, jak ojciec, serdeczny przyjaciel...
Tu tylko żyje i umrze szczęśliwy.

I wrósł tak w serce ziemi ukochanej,
co w pocałunkach u stóp mu zawisała,
że gdybyś wyrwał z niej omszałe ściany,
wnetby w tem miejscu struga krwi wytrysła.

Duma kościołek pod lasem, za rzeką,
miłośnie patrzy na rozsiane wioski,
czuwa nad niemi ojcowską opieką,
marszcząc brwi siwe od serdecznej troski.

W wieczór mu dąb-druh szemrze dawne baśnie
do wieży starej, pochylonej ucha.
Hej!... dziwy szeptce — on słucha i słucha,
póki znużony na chwilę nie zaśnie.

Gdy księżyc dotknie dachu srebrem rogów,
schodzą z obrazów święci poczerniali...
Idą od ludzi, do wiosek w oddali,
a Chrystus złoty zasiada na progu.

MODLITWA WIECZORNA

Na gwiazdach srebrnych rozpiąłem swą duszę
Sercem wytrysłem ponad drogę mleczną,
Ponad wszechświaty, ponad martwą głuszę,
I nad skrwawioną zórz wieczornych luną
Ległem przed Tobą ofiarnym całunem.

O Wieczny!

Czuję Cię! Jesteś, nade mną i we mnie —
Świat Cię nie mieści, lecz ja mieszczę w łonie.
Wiem, że nie będę wołał Cię daremnie:
Przyjdiesz i weźmiesz w Swe świetliste dłonie
Mą skroń znużoną.

A ja Ci powiem tak cicho, cichutko,
Jako do ojca tulące się dziecko,
O łzach, o bólu i oparach smutku
Co czarnym kirem wloką się po świecie.

Stoję wysoko nad rodzinnem gniazdem
W dymów fabrycznych snujących się hymnie,
Sam jeden jestem! Nie! Ty jesteś przy mnie,
Jesteśmy: Ty, ja, ból ludzki i gwiazdy.

Bądź pozdrowiony, Wiekuisty Panie,
Dymami fabryk i transmisyj sykiem
I lśniących smarem maszyn rozedrganiem,
Ogniem kotłowym i młotów muzyką.
Zniź swoje dłonie nad uśpionem miastem —
Błogosław domom, fabrykom, mieszkańcom
I zstąp na ziemię po szlakach mgły nocnej,
Rozjaśnij mroki nadziei kagańcem
I ześlij spokój słodko uśmiechnięty.
O Wielki! Mocny!
O Święty!

W NOWY IDZIEMY POLSKI ŚWIT...

NA NOWE TORY!

W nowy idziemy Polski świt,
Na nowe, jasne szlaki!
Zmiękł już gnębiącej pięści chwyt —
Już nadszedł nowej ery świt,
Już szumią nasze znaki!...

Chrobrego dźwięczny zagrział róg
I zbudził lud z uśpienia.
Kto z nami — brat! Kto przeciw — wróg!
Gdyż zagrział już Chrobrego róg
I minął czas milczenia!

Pójdziem jak wichur! Płomień! Grom!
Co miażdży, rwie i pali —
Oczyścić z brudów Ojców dom.
Jak orkan! Wichur! Piorun! Grom!
W potężnej zwarci fali.

Podłożym z serc ognisty lont
Pod ciemnych kłamstw podpory —
Aż prysną wnet jak zgniły gont.
Rozsadzi je serc naszych lont
I w nowe pójdziem tory!

POD WIATR

Wypadliśmy, jak piorun z pod zmurszałej strzechy
na wiatr!

O — hej! na wiatr,
na wicher, co wieje z niebosiężnych Tatr —
skrzą się nam w oczach radości uśmiechy —
szerokim wdechem zagrała pierś naga,
prężymy się w zrywach wichrowych osmagań.
Wiatr rozhulał się w szale! Pędzi, rwie z kopyta —
załopotał po oczach i za włosy chwytą.

Wiej wicherze, wiej!
Z szerokich pól i kniej!
O — hej! O — hej!

A my lecimy pod wiatr,
a my mkniemy,
szybujemy
płomieniem i blaskami niegasnących watr; —
wiatr nam włosy rozwiewa,
wiatr nam huczy i śpiewa —
wyje wiatr.....
wiatr rrr.....

Jesteśmy młodzi, roześmiani i cudni —
krew nam w żyłach pulsuje i dudni
i szeroko nam, bezkřeśnie i jasno,
stare zorze już gasną;
trza te blaski co zamrą
sprzęgnąć z jutrem serc klamrą.
O — hej!

Nie ugniemy się nigdy, przeningdy i za nic,
nikt nie upadnie zamroczony na dno —
nie znamy granic,

biegniemy za snującą się niemi Arjadną
i chwytny jej cudny, śmiejący spojrzenia
i cieszymy się z słońca, z wichrów i istnienia.
Pęd nasz śmiały i dumny,
labiryntu kolumny
porozwalał, potrzaskał i skruszył,
a nam śpiewa coś w duszy,
a nam w sercach coś rośnie,
coś się rodzi radośnie!

O — hej!

Wylecieli z chałupy wieśniacy —
skamieniała ich kosa w pół drogi —
wzrok im umknął od pracy
i zawiesił się na nas rozdziawiony i niemy:
— Czy szatany — czy bogi?...
A my mkniemy i mkniemy...

Borykamy się z wichrem, zaostriamo się w walce
i chwytny i rwiemy, co nam wpadnie pod palce: —
reżim stary, wychudły
porwaliśmy za kudły,
aż się zatchnął milczeniem...

Już są nowe przestrzenie. —

O — hej!

Dal lśni tęczy obrazem...
już, już blisko są bramy —
razem!...
Uderzamy!!!

ORŁY POLSKIE

Lotnikom polskim poświęcam

Warczą silniki przestrzeni pijane —
Wichr, rwany śmigłem, rozszochał się w jęku...
Wyje!

Syczy! Szaleje! Łbem o skrzydła bije!
Spieniony, wściekły, parska huraganem,
wreszcie zdławiony przeraźliwym łękiem:
Blednie! Truchleje!

A oni, pędzą jak błyskawic gromy,
gdzieś w dole tańczą rozszalałe niwy,
przepaście, góry, miasta, kraje, domy,
odmętów wodnych zapłonione grzywy,
łądy i morza...

Hej! Grają w wichrze lin stalowych struny
pieśnią radości i głodem zwycięstwa!
Stalowe dzioby niebnych mórz laguny
orzą i prują. Hej! wyją przestworza!

— — — — —
Patrz! Czarna chmura pędzi na spotkanie.
Już tuż! Już blisko. Już piersią uderza!
Zwarli się strasznie śmiertelnym zmaganiem!
Och! Już nie widać srebrnego szermierza —
lecz nie. — Czy widzisz? Patrzaj, z drugiej strony
wystrzela racą i wzbija się w górę,
jak pocisk z działa w niebo wystrzelony,
rozdiera w strzępy olbrzymi zwał chmury.

Lecą!...

A na podniebnych, wyzłoconych szlakach
polegli w sławie wielcy poprzednicy,
maszyny polskie poznawszy po znakach,
ze łzami szczęścia lazurem je wieńczą —

dążą wraz z nimi przez niebne połacie
i cichym szeptem wprost w serca im dźwięczą:
Witaj! Witaj bracie!

A śmigło warczy nieustannym grzmotem,
pęd ostrzy duszę, płomieniem rozpala
krew, w skroniach huczy i wali jak młoty.
Lecą wciąż naprzód! I dalej! I dalej!
Rwą!

Dni skrzydłem trącane mijają jak chwile,
góry w tyle, łądy w tyle!
Ster, mózg, śmigło — jedno ciało,
ziemi mało! — Świata mało!...

Hej!...

Mkną! Mkną pijani szaloną gonitwą
i sine dale tną skrzydłem jak brzytwą.
Świat patrzy i słucha —
świat zamarł bez ducha...

Tam, tam, patrz pierwszy! Leci! Metę mija!
Kto? Na Boga! Mówcie, bo krwią spłonę!
JEZUS MARYJA!!!
Polak!...

Drży polskie niebo pieśnią rozzwonię
co gra na wichrach jak harfy eolskie,
a oni harde wyciągają dłonie,
zdartym z Parnasu laurem wieńczą skronie.
Orły...
Orły Polskie!

PROMETEUSZE

Przywódcom ruchu narodowego

Tłukły Wam się serca o ostrza krat —
krwawiły...
jak za dawnych lat
tamtych... wśród stęchlizny zgniłej,
gdy był Sybir i bat!...

Długie, ponure noce,
długie, upiorne rozpaczą,
gdy bunt piecze, piecze stygmatem nad głowami kracząc,
gdy ból kreśli na ścianie koszmarną sylwetę —
ból... ból, co w pomroce
rozpala ogniem rdzawe ruszta krat;
za niemi brat... Wasz brat
z bagnetem!...

O... ostrze długie, złowrogie i lśniące,
jak żądło zdradne w rozwścieczonej szczęce,
co twórcze ręce,
serca i dusze przespilić Wam chciało...
Rozorać słońce...

O... ostrze długie, ale go za mało!...
O... ostrze wściekłe, ale go nie starczy,
by mogło sięgnąć Waszej, złotej tarczy!...

Szaleni!

Chcieli Wam wyrwać z serca baśń tęczową,
myśleli może, że wśród wilgnych cieni
znich duszy Waszej gdzieś u kraty skona —
na spierzchłych wargach zastygnie Wam słowo!...
Ha!... Ha!...

Toż łatwiej Tatry udźwignąć w ramionach...
Kipiący wulkan zalać kroplą wody...

Bezmiar wód wszystkich zmienić w stepy suche —
niżli Wam serca okiełznać łańcuchem!

Tam w ciemnych lochach nie byliście sami,
O nie!

Kłamała pustka i głusza kłamała —
myśmy tam byli... była Polska cała.

Za złowieszczemi, czarnemi kratami
miljony uczuć, dusz i drgnień serdecznych
obrały sobie wraz z Wami siedlisko.

I było wszystko...

Wszystko, co tylko do duszy Polaka
włał kiedyś w mrocznych pratworzenia szlakach
Przedwieczny!...

Patrzcie! Nam dłonie palą się do czynu,
z dyszących piersi serce chce wyskoczyć
i gorą oczy...

Widzicie twarze roboczego gminu
co drga jak łuku naciągnięta struna?...

Słyszycie burze w naszych piersiach grzmiące?

Każcie — a ziemię rozpalim w piorunach!...

Czas okiełznamy!... Ujeździmy słońce!...

Każcie! Powiedzcie! — nas nie straszą kraty,
ni ciemnie lochów, ani kazamaty.

Krata nam ogniem tak dusze rozpali,
że jak Wy będziemy czysti, doskonali.

I grzmotniem pięścią, my — czarna hołota...

w bliskiego jutra szafirowe wrota!

ROCZNICA

Marzyła im się
Wielka, Niepodległa, Święta,
w duszach smaganych satrapy nahajem,
w sromoty pętach.
Marzyła im się cudna, uśmiechnięta —
pachnąca rajem...

Lecą z drzew liście, księżyc błyska krwawo —
drży miasto w mrokach, — czemu drżysz Warszawo?
Czyżby się tobie przyśniła baśń stara
o dawnych czasach?... — czyliś już nie rada,
że w tobie knutem i pałkami włada
Najjaśniejszego Wielkiego brat Cara?...
Ty drżysz Warszawo!...
Coś ci tam pękło i zawrzało w łonie,
kotłuje, syczy, przewala i płonie,
jakby w wulkanie, gdy ma rzygnąć lawą.
Zahuczał wicher, zahuczał i zawył —
sypiący liśćmi, złowrogi, ponury —
przeorał z szumem ulice Warszawy
i runął grzmotem w arsenału mury!

Wpadli....

Stu sześćdziesięciu... Wysocki na czele...
Na pyły starli żelazną zaporę.
Każdemu serce i lico tak gore,
jak pozłocista monstrancja w kościele —
synowie Matki najlepsi, najszczerzi,
w jeden grot zlawszy serc swych huragany,
rwą się, by hańby piekące kajdany
strzaskać o młode, gorejące piersi.
— Hej! Na Belweder!... — zagrzmiało wołanie.

Ciebie już niema?
Już zmykasz tyranie?
Samodierżnego mordercy pajacu —
z bladego strachu jużś śmierci bliski!...
Czy to ty pierwiej tam, na Saskim Placu
nam, synom wolnym, szpicrutą prał pyski?
Zmykasz?

Rozwarł swe skrzydła orzeł srebrnopióry,
poraził gromem niewolnicze roty
i pomknął dumnie wspaniałemi loty
w rozświetlone blaskami lazury.
— Leć orle dumny, pruj piersią przestworza!
Pędzi wspaniała lotem błyskawicy
po krwią syconej lechickiej ziemicy,
w potędze, w blaskach, w świtających zorzach.

Zmagania... zrywy... poświęcenie... męstwo...
pożoga... łuny... śmierć krwawa przy pracy...
I ganie!... Stoczek!... Zwycięstwo!...
Olszynka... Czwartacy...
Piekło... lawiny serc... syczące kule...
ściśnięte zęby szaleństwem i bólem...
strugi krwi ciepłej... rubinowe strugi...
wał trupów święty... wał straszny i długi...
Sowiński!...
Lew srebrny, sztykami zakłuty,
na szańcach Woli... Ostatniej Reduty!...

A potem... potem na pruskiej granicy,
z skamłaniem sercem broń w kupę ciskana —
bez krzyku w gardle, łez w błędnej źrenicy —
drżące, stalowe wśród śmierci — kolana.

Sto cztery lata... przeszły w dziejów zamęt,
lecz duch się został, przesiąkł w polskie pola,
jak przodków wielkich świetlisty testament,
nieuznający wyrazu: nie w o l a !

BUNT

Długo nas chcecie karmić egzotyczną papką
emisariusze wrogich i obcych nam dróg?
Długo nam trzymać przyszłość pod niewidką czapką,
że nie wiemy, gdzie kres nasz i gdzie jest nasz Bóg?

Ej, wy, pisarze, co nam w gardziel pchacie
waszą jaźń obcą, chociaż w polskiej szacie —
od waszej strawy popuchły nam gardła,
zakopiał mózg.

Woń waszych przypraw trzewia nam podarła,
stała w krtani, jak dławiąca ość,
aż rzygnął buntu purpurowy bryzg,
aż się spienił,
rozpłomienił,
i warknął:
d o ś ć !

Oto myśmy wytryśli z ojczystych kurhanów —
rozparliśmy się w nogach szeroko i twardo —
zaryły nam się pięty w skibach czarnych łąnów —
naszą skronią skupioną, nieugiętą, hardą
orzemy nieba ołowiany strop —
my,
robotnik i chłop!...

Wyprężyły się grzbiety, jak łuk —
porwaliśmy wasz łachman na strzępy, na części,
woraliśmy w wszechświaty zbuntowane pięści,
bo jedno jest dla nas niebo, i jeden jest Bóg.

I wsłuchani jesteśmy w naszych wichrów wianie
i łomoczą nam serca i grają nam krtanie
i rzucimy za chwilę nasze jędrne, zdrowe,
pachnące ziemią słowo narodowe.

Nie damy ludu wodzić po złudnych manowcach
wśród waszych rui i porubstwa wzruszeń,
lecz mu odkryjem naszą polską duszę
i damy do spożycia, jak bochen razowca.

Wypełniły się czasy w przepowiedniach wieszczów,
spadniemy na spękane posuchą przestrzenie
gromami, błyskawicą, huraganem deszczów —
my,
młode pokolenie.

Rozpostrzemy swe skrzydła i orle pazury,
wywrócim wszystko na nice!
Przestawimy zwrotnice
kultury.

Nasze jest imię CZTERDZIEŚCI I CZTERY !

Hej!

Święte Lucyfery!

Czyż mamy wiecznie pełzać po omacku
i słuchać obcych dyktand i rozkazów,
jakbyśmy swego nie mieli wyrazu?

Hej!

Zakląć tak siarczyście z serca, po sarmacku,
splunąć w garść, kulaki zacisnąć
i buntem roziskrzonym we ślepiu im błysnąć,
runąć na przekór wszystkim i wszystkim na złość
ławą —

do naszych miast i siół,
grzmotnąć chropawą prawicą o stół,
aż się rozlegnie po Karpatach cios,
i huknąć:

do ść!

My mamy głos !!

DO SZTUKI

Drzemiesz zamknięta w niebotycznych chramach,
wśród zgliszcz i ruin starego Parnasu —
trwasz tam dla siebie jedynie i sama...
twarzą zwrócona do minionych czasów!...

Szepcesz bezdźwięcznie wyblakły poemat;
echo tej pieśni, co się już skończyła.
Przebóg! — czyż świata i ludzi już niema?...
że jesteś sama, — żeś w obłok się skryła?...

Patrz!...

Idziem zerwać z Twych oczu zakrycie,
wspaniali buntu najświętszą herezją —
skroń Ci ozłocić przyszłych dni poezją.
Wszak Tyś jest wiecznie rodzącem się życiem!...

W Praksyteleasa marmurowe ciało
idziemy wlewać strugi krwi gorącej,
by je zbarwiła — aby w nich zawrzała.
W baśń Rafaela tchnąć dzisiejsze słońce!...

Czyż nie czas zerwać z mrocznych dziejów mytem?...
Nad dniem dzisiejszym wznieść ócz kandelabry,
nad kuźnią czynu, nad dymami fabryk,
pługiem błyszczącym, wychabrzonym żytem?...

W Tobie zakłęty święty płomień Boży.
Czyż błysk jarzący Twych wichrowych gromów
nie zdolny słońca budować z atomów?...
Czyż Ty nie kruszysz, nie zwalasz, nie tworzysz?...

Wyjdź! Wyjdź Milońska, wyjdź na rynek rano —
zmieszaj się z tłumem, błysnij cudem ciała
i wonnych piersi bielą nieskalaną —
aż słupem stanie rzesza oniemiała!...

Tańcz im pieśń życia upojną, namiętą —
porwij ich, zachwyć, napój ust nektarem
i pocałunku przenajśłodszym czarem
wypal na czołach nieśmiertelne piętno.

Potem na pola, na wieś, za roгатkę —
siądź roześmiana na chłopską furmankę,
nad złotem czołem wznieś konfederatkę
i krzyknij w przestrzeń świata Marsyljanke!...

Leć, pędź przez gaje, ugory, parowy,
przez dymy miasta i przez kurne chaty,
ogarnij wszystko tchem błyskawicowym
i nowe życia — nowe wyłoń światy!...

MŁODZI

W nas młodych drzemie orłów moc,
Błyskawicowe nasze loty.
Dziś ruszym martwy globu kloc!
Hej! Twarde pięści naszych młoty!

Do nas należy jutra brzask,
Skrzesany naszej woli skrami.
Nie chcemy ustępstw ani łask —
My stery życia wydrzem sami!

Precz z drogi gnuśność, niemoc precz!
Pełznących gadów nam nie trzeba.
Nasz gorejący czynem miecz
Rozedrze chmurną płachtę nieba!

Lecz kto się cofnie choć o krok,
Oblecze lica strachem bladym —
Niechaj przekleństwa wieczny mrok
Wypali na nim znak zagłady.

Nam nie sądzono w prochu lec,
Kaprysom losu lizać stopy,
Lecz ogniem w sercach, wichrem biec
Nad strupieszale życia stopy.

Niech tam zgnuśniały ludzki gad
W pieluchach pleśni jaźń mitręży!
Dziś my chwycimy w dłonie świat
I umrzem — lub zwyciężym!

POLSKIE MORZE

Objęło Polski szmat w ramiona —
Piaszczyste wydmy, miasta, wioski,
I falą pluskiem rozzwonioną
Śpiewa im cudny hymn radości.

Palą się na niem w łunach zorze,
Chybotnych, drżących łusek blaskiem.
Złocą nadbrzeżne, sypkie piaski.
Morze! Polskie Morze!

Hej! — igra mocny wiatr w bandery
Na naszych Wichrach i Mazurach!
Mkną siwe skiby z pod trawlerów.
Hej! — serca przeżą się w mundurach,
Co skradły kolor morskiej toni.
Bo oni,
Błękitnobluzi,
Rwą się w bezkresne oceany,
By z tajfunami pójść w zawody,
Zbryzgać skroń w runach szumnej piany
I rzucić światu z piersi młodej
Potężny zew: — Żyjemy !!!

Aż świat przystanął niemy
I w podziwieniu patrzy, słucha,
A my wspaniali mocą ducha,
Oparłszy stopę o Tatr śniegi,
Drugą o morza skibne łany,
Podniebne gwiazdy chwycim w biegu —
Hej! — cóż nam wichry, huragany !...

A morze szepcze, szemrze, szumi
W prastarym swoim rozhowerze,
A serce polskie wyrozumie,
Co szepcze morze — Polskie Morze!

RYCERZ BŁĘKITNY

Gen. Józefowi Hallerowi

Generale!

Na głos Twej surmy, głos gromki, potężny,
Zbierają się Twoje orły na wyraju
I z szumem skrzydeł mknie hufiec orężny,
By oddać krew swą serdeczną dla kraju.
Skinąłeś!... I oto na kształt błyskawicy
Runął Twój hufiec do świętego dzieła —
Pełzając w prochu zbledli przeciwnicy,
Rażeni gromem Tej, co „nie zginęła“.

Hej!... Jęczą działa, drży ziemia w posadach,
Wśród błysków, dymów, tętentu i wrzawy —
Wiedziesz swój hufiec na egzamin krwawy.
Idą.

Błękitny mur ciał, dusz, bagnatów!
Pędzą jak wicher, jak lawina wałą,
Jak piorun z niebios, co wszystko zabija —
A piersi dyszą, w oczach skry się palą...
Jezus! Maryja!

Zwarli się. Miażdżą. Rwą! Tłuką! Tratują!
Bryzga krew wrząca, mózg z czaszek wytryska —
Szaleją jak wulkan, porwawszy łożyska,
Jak morze wściekle, co na skały ciska
Ogrom swej masy!

Zbroczeni, krwawi, ran swoich nie czują,
Tylko wciąż pędzą, sieką, rzną i kłują,
A Ty na przedzie, szabla Twoja błyska —
Daje rozkazy i pioruny ciska,
Wiodąc huf mężnych w jasne jutra dale.

Generale!

Dla Cię, rycerzu błękitnego znaku,
Nie trzeba bronzów, marmurów, granitów,
Bo Ty masz pomnik z serc i dusz Polaków!
Nie trzeba dla Cię dostojęństw, zaszczytów,
Bo w naszych sercach żyjesz w wiecznej chwale.

Generale!

Gdy nowa fala na Polskę uderzy,
Gdy Ty powołasz nasz naród do czynu,
Stanie znów hufiec błękitnych rycerzy,
By zginąć, lub zerwać nowy liść wawrzynu!

Pójdziem za Twojej szabli błyskawicą,
Boć nie osłabła w sercach polskich dzielność —
Pójdziemy zwartą dusz mężnych ławicą
Za Tobą, Wodzu, w jasną nieśmiertelność!

SOKOLI!

Grają na słońcu karmazyny,
Aż serca rosną, w oczach boli.
Idą, gdzie walka! Trud! Wawrzyny!
Ikarów szumny huf! Sokoli!

Aż świat się od nich zarumienił
I zda się buchnie ognia snopem,
Co gromem, wichrem swych płomieni
Uderzy w chmurne niebios stropy.

Podniebne, rwące są ich loty,
Złoceni blaskiem zórz orlęta
Druzgocą silnych pięści młotem
Niemocy gnuśność. Kajdan pęta.

I ramię w ramię, z dłonią w dłoni
Idą potężnym, grzotnym krokiem —
Aż echo mocnym wtórem dzwoni,
Jak kraj nasz długi i szeroki.

Idą wiośniani, cudni, młodzi,
By strzelić pocisk serc gorących
Z przyziemnych, brudnych łąg powodzi
Hen! — Do stóp Boga! W jasne słońce! —

Drzewa im chylą się w pokłonach
I szumią zboża chlebną ławą,
A dal bezkresna, niezgłębiona
Szepcze cichutko: Sława! Sława!

Grają na słońcu karmazyny
Aż serca rosną, w oczach boli —
Idą, gdzie walka. Trud. Wawrzyny!
Ikarów szumny huf. Sokoli!

DMOWSKI

Ciemna się chmura rozdarła na poły —
światlisty zygzak przerznął gąszcz mgławicy —
czarne przepaście i obłędne doły
stanęły w lunach iskry-błyskawicy.

Duch - młot srebrzysty zadźwięczał o skały!...
Czyn - grom - huragan zawrzał w wichrów stali.
Lont - słowo śpiące wulkany rozpałił —
krzyk - grot jarzący spienił morskie wały.

Już idziem, idziem w ogniu Twoich trzasku,
porwani Twoich twórczych wichrów pędem,
owiani żarem powstających blasków —
krzyknąć ze szczytów narodzin kolendę.

Zatętnił w głuszy grzmiących kroków łoskot,
za nami opar gnuśności i klęski —
przed nami Jutro złoci twarz swą boską!
Jutro! Nowina! Orłów lot zwycięski.

Hej! wykreśliłeś nam świetlistą drogę.
Naprzód! Radośnie! Bracia, dajcie dłonie —
nim słońce zagra tęczę w nieboskłonie,
w dymiących gruzach stawmy hardą nogę.

— — — — —

O n stoi, i patrzy, — rozpostarł ramiona —
W ó d z - d u c h N a r o d u, potężny, wspaniały —
góry Mu dźwięczą echem wiecznej chwały.....
W dali lśni Wielkiej Polski baśń wyśniona.

CONFITEOR

Marjanowi Seydzie

My, zabłąkani z astralów przybłądy,
arcykapłani rozżarzonych słów,
śmiali derwisze liljowej legendy,
łowcy uparci przyszłych, złotych snów,

dziś otwieramy przed wami naoścież
głąb naszej duszy rozłupanej w klin,
abyście tutaj, drzemiący na moście,
sądzili razem pełnię naszych win.

Dla was, zjadaczy powszedniego chleba,
ślepych minstrelów wyświechtanych klechd,
rwiemy przestrzenie z owocami nieba,
by niemi zmienić stęchłość waszych strzech.

My, w zakłamanych zaułkach polegli,
pętlą obłudy ściskani za krtań,
serca kładziemy jak cegła po cegle,
murując przyszłość, krzycząc: zbudź się, wstań!

Będziemy długo krążyć wam pó żyłach
pieśnią, wydartą szlakom srebrnych gwiazd,
aż w was się ocknie tytanowa siła,
aż krzyk uderzy z wszystkich wsi i miast.

Aż nasza spowiedź nawskroś was przepali,
dźwignie, poderwie w huraganny lot.
Pieśni wam, pieśni potrzeba i stali, —
woli ostrzonej wichurą, jak grzmot.

Z pieśnią na ustach powiedziam was, młodych,
w bram ostrołuki z rubinowych malw,
w sny turkusowe z błękitnej pagody,
w jutro utkane z milionów serc salw.

A choć legniemy w purpurze pokotem,
z krwi naszej wstanie zwycięski wasz marsz —
wielcy — dotkniecie nas stopą przelotem,
hej, w najwichrowszej z piorunnych swych szarż!

SPIS RZECZY

	Str.
PRZEDMOWA	5
 <i>USTA NA GWIAZDACH</i>	
Jedno imię	13
Do poezji	14
Wiosna	16
Wiśnie	18
Psyche nieuchwytna	20
Lipiec	22
Gwiazdy	24
Smutek	25
Toń	26
Dzieci i liście	28
Wieczory	30
Nokturn	32
Lecą liście	34
Cisza	35
Słowa	36
Jesień w parku	38
Loty	40
Szaruga	42
Zaduma	44
Umarle echa	46
 <i>ŁÓDŹ</i>	
Zadymiony gród	51
Wiosna w Łodzi	52
Łódź w nocy	53
Katedra łódzka	54
Park Poniatowskiego	55
Na Chojnach	56

CZARNA POEZJA

	Str.
<i>Taniec maszyn</i>	61
<i>Strajk</i>	63
<i>Jan Cebula</i>	66
<i>W fabrycznej hali</i>	69
<i>Bruk</i>	70
<i>Dymy</i>	73
<i>Tkacz</i>	74
<i>Maszyny</i>	77
<i>Robotniku szary</i>	78
<i>Gdy bije piąta!</i>	80
<i>Czarna poezja</i>	81

DŁONIE KU NIEBU

<i>Ojciec nasz</i>	87
<i>Nazareńczyk</i>	90
<i>Bóg się rodzi</i>	92
<i>Zmartwychwstanie</i>	94
<i>Credo</i>	96
<i>Przydrożne krzyże</i>	99
<i>Kościółek wiejski</i>	101
<i>Modlitwa wieczorna</i>	103

W NOWY IDZIEMY POLSKI ŚWIT

<i>Na nowe tory!</i>	107
<i>Pod wiatr</i>	108
<i>Orły polskie</i>	110
<i>Prometeusze</i>	112
<i>Rocznica</i>	114
<i>Bunt</i>	117
<i>Do sztuki</i>	119
<i>Młodzi</i>	121
<i>Polskie Morze</i>	122
<i>Rycerz błękitny</i>	124
<i>Sokol!</i>	126
<i>Dmowski</i>	127
<i>Confiteor</i>	128

129639

40.

